

VIKTOR E. FRANKL

Człowiek w poszukiwaniu sensu

przełożyła Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

CZEŚĆ PIERWSZA

Moje przeżycia w obozie koncentracyjnym

Niniejsza książka nie aspiruje do tego, aby być wiernym zapisem historycznych faktów i wydarzeń; jest raczej zbiorem osobistych doświadczeń, doświadczeń, które swego czasu stały się udziałem milionów więźniów. To naoczna relacja z pobytu w obozie koncentracyjnym, spisana przez jednego z ocalałych z pogromu. Jej celem nie jest uwypuklanie największych koszmarów obozowego życia, jako że te były nader często opisywane (choć o wiele rzadziej przyjmowane za prawdę), lecz przedstawienie niezliczonych drobnych udręczeń. Innymi słowy, książka ta spróbuje odpowiedzieć na pytanie: w jakim stopniu codzienna rzeczywistość obozu koncentracyjnego znajdowała odbicie w umyśle przeciętnego więźnia?

Większość opisanych tutaj wydarzeń nie miała miejsca w wielkich, znanych obozach, lecz właśnie w tych mniejszych, w których głównie dokonywano masowej eksterminacji. Niniejsza historia nie traktuje o kaźni wielkich bohaterów i męczenników, nie opowiada też o wszechwładnych kapo – zaufanych więźniach obdarzonych szczególnymi przywilejami – ani o postaciach znanych ludzi, którzy trafili do niewoli. Nie koncentruje się zatem na cierpieniach wielkich tego świata, ale na poświęceniu, męce oraz śmierci olbrzymiej armii nikomu nieznanym i przez nikogo nieodnotowanym ofiar. To właśnie ci zwykli więźniowie, na których rękawach brak było rozpoznawalnych emblematów, byli obiektem największej pogardy kapo. Podczas gdy zwykli więźniowie jadalі niewiele lub prawie wcale, kapo nigdy nie chodzili głodni; prawdę mówiąc, wielu kapo wiodło się w obozie lepiej niż na wolności. W traktowaniu podległych sobie więźniów przewyższali surowością niemieckich strażników, a okrucieństwem w biciu – esesmanów. Rzecz jasna, byli oni wybierani do sprawowania tej funkcji wyłącznie spośród więźniów o odpowiednim charakterze i skłonnościach i jeśli nie wypełniali tego, czego od nich wymagano, czekała ich natychmiastowa degradacja.

Wkrótce też upodabniali się do esesmanów i strażników obozowych, można więc powiedzieć, że ich psychikę należy oceniać w tych samych kategoriach.

Osobie z zewnątrz łatwo jest wyrobić sobie mylny obraz obozowego życia – obraz zniekształcony przez sentymenty i współczucie. Ktoś taki niewiele wie na temat toczonej przez więźniów brutalnej walki o przeżycie. Był to bezlitosny bój o kawałek codziennego chleba i przetrwanie, o dobro swoje lub najbliższego przyjaciela.

Za przykład niech posłuży nam przypadek transportu, który – jak oficjalnie ogłoszono – miał przewieźć pewną liczbę więźniów do innego obozu; łatwo się jednak było domyślić, że celem tej podróży będą komory gazowe. Wybrani podczas selekcji chorzy i osłabieni więźniowie jako niezdolni do pracy mieli być przeniesieni do jednego z wielkich zbiorczych obozów wyposażonych w komory gazowe i krematoria. Selekcja stanowiła sygnał do bezpardonowej walki między więźniami – jednostka przeciw jednostce, grupa przeciw grupie. Liczyło się jedynie to, aby nasze własne nazwisko i nazwisko naszego przyjaciela nie znalazło się na liście ofiar, choć wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że miejsce jednego ocalonego musi zająć inna ofiara.

Każdy transport zabierał określoną liczbę więźniów. Nie było ważne, których konkretnie, jako że i tak każdy z nich nie był niczym więcej jak tylko numerem. W dniu przyjazdu do obozu (przynajmniej taką metodę stosowano w Auschwitz) odbierano więźniom wszelkie dokumenty wraz z innymi rzeczami osobistymi. Każdy miał zatem możliwość podszywać się pod dowolne nazwisko i zawód – i z różnych powodów wielu tak właśnie robiło. Władze obozowe interesowały wyłącznie numery przetrzymywanych. Numery te były zwykle wytatuowane na skórze, musiały być także naszyte w określonych miejscach na spodnie, kurtkę lub kapotę więźnia. Chcąc oskarżyć więźnia o jakieś wykroczenie, strażnik musiał tylko spojrzeć na jego numer (jakże obawialiśmy się tych spojrzeń!) – nigdy nie pytał

o nazwisko.

Powróćmy jednak do mającego wyruszyć konwoju. W takich chwilach brakowało czasu i chęci, aby roztrząsać kwestie moralne czy etyczne. Każdy więzień opętany był tylko jedną myślą: utrzymać się przy życiu przez pamięć oczekującej go rodziny i ocalić najbliższych. Był zatem gotów na wszystko, by inny więzień – inny „numer” – zajął jego miejsce w transporcie.

Jak już wspomniałem, proces wyboru kapo polegał na negatywnej selekcji; tylko najbardziej brutalni więźniowie mogli sprawować tę funkcję (szczęśliwie z kilkoma wyjątkami). Jednak wraz z selekcją kapo, której dokonywali esesmani, wśród więźniów toczył się przez cały czas pewnego rodzaju proces autoselekcji. Przy życiu pozostawiali z reguły tylko ci więźniowie, którzy po latach przebywania w różnych obozach w swojej walce o przetrwanie porzucili wszelkie skrupuły; imali się oni wszelkich uczciwych i nieuczciwych sposobów, uciekając się nawet do brutalnej siły, kradzieży i zdrady przyjaciół, aby ratować własną skórę. My, którzy wróciliśmy z piekła, zawdzięczając to wielu szczęśliwym zbiegom okoliczności lub wręcz cudom – jakkolwiek by je nazywać – my wiemy: najlepsi z nas stamtąd nie powrócili.

Obecnie dostępnych jest wiele faktograficznych relacji dotyczących obozów koncentracyjnych. W przypadku tej książki fakty będą jedynie o tyle istotne, o ile będą stanowiły część ludzkiego doświadczenia. Niniejszy esej będzie właśnie próbą opisanego natury owych doświadczeń. Tym, którzy przeżyli obóz koncentracyjny, spróbuję wyjaśnić ich przeżycia w świetle współczesnej wiedzy; ci zaś, których to ominęło, być może łatwiej ogarną, a przede wszystkim zrozumieją doświadczenia tej jakże nielicznej grupy więźniów, którzy przeżyli i którzy nie potrafią się teraz odnaleźć w życiu. Byli więźniowie często mawiają: „Nie lubimy opowiadać o tym, czego doświadczyliśmy. Tym, którzy byli tam razem z nami, niepotrzebne są żadne wyjaśnienia, inni zaś nie rozumieją ani jak się wówczas czuliśmy, ani jak się czujemy teraz”.

Próba metodycznego uporządkowania tak szerokiego tematu stanowi wielkie wyzwanie, jako że psychologia z natury wymaga pewnego rodzaju naukowej bezstronności. Czy jednak człowiek, który odnotowuje swoje obserwacje, samemu będąc więźniem, jest w stanie zdobyć się na bezstronność? Osoba spoglądająca na problem z zewnątrz zdobędzie się na nią bez trudu, lecz nieunikniony dystans odbierze jej spostrzeżeniom jakąkolwiek autentyczną wartość. Tylko ten, kto sam był w obozie, naprawdę wie. Jego sądy mogą być nieobiektywne, a oceny przesadne; to nieuniknione. Należy zatem podjąć świadomy wysiłek, aby uniknąć jakiegokolwiek stronnictwa i na tym właśnie polega prawdziwa trudność napisania takiej książki jak ta. Czasami autor musi mieć odwagę opisanie szczególnie osobistych doświadczeń. Dlatego też początkowo zamierzałem wydać tę książkę anonimowo, podpisując ją jedynie swoim numerem obozowym. Gdy jednak rękopis był już gotowy, zrozumiałem, że jako anonimowe wydawnictwo moja książka straci połowę swojej wartości i że muszę zdobyć się na odwagę, aby otwarcie przedstawić swoje poglądy. Podjąłem wówczas decyzję, by nie usuwać żadnego fragmentu swojej relacji, pomimo głębokiej niechęci do wszelkiego ekshibicjonizmu.

Moim czytelnikom pozostawiam swobodę analizowania treści tej książki w poszukiwaniu suchych teorii. Być może wniosą one coś nowego do psychologii życia więziennego, badanego tak intensywnie wkrótce po pierwszej wojnie światowej, która dostarczyła nam wiedzy na temat syndromu „choroby drutów kolczastych”. Drugiej wojnie światowej zawdzięczamy natomiast wiedzę o „psychopatologii mas” (jeżeli mogę w ten sposób sparafrazować znane powiedzenie, a zarazem tytuł książki LeBona), wojna przyniosła nam bowiem wojnę nerwów oraz obozy koncentracyjne.

Ponieważ opowieść ta dotyczy moich osobistych przeżyć w roli zwykłego więźnia, powinienem w tym miejscu zaznaczyć, nie bez dumy, że z wyjątkiem ostatnich kilku tygodni pobytu w obozie nigdy nie byłem tam zatrudniony jako psychiatra ani nawet jako lekarz. Kilku moich kolegów po fachu miało

szczęście pracować w kiepsko ogrzewanych ambulatoriach, w których opatrywali rany przy pomocy bandażu zrobionych z kawałków makulatury. Ja jednak byłem numerem 119 104 i większość czasu spędziłem, kopiąc i układając tory pod linię kolejową. Pewnego razu miałem za zadanie samodzielnie wykopać pod drogą tunel pod wodociąg główny. Za jego wykonanie zostałem sownie wynagrodzony: tuż przed Bożym Narodzeniem 1944 roku otrzymałem w prezencie tak zwane bony premiowe. Wydawało je przedsiębiorstwo budowlane, w którym pracowaliśmy na zasadzie niewolników; firma płaciła władzom obozu ustaloną stawkę dzienną od każdego więźnia. Bony zaś kosztowały ją pięćdziesiąt fenigów za sztukę i mogły być wymienione na sześć papierosów, często dopiero wiele tygodni później, chociaż zdarzało się, że traciły już wówczas swą wartość. Stałem się zatem dumnym posiadaczem bonów stanowiących równowartość dwunastu papierosów. Lecz co bardziej istotne, owe dwanaście papierosów można było wymienić na dwanaście porcji zupy, zaś dwanaście porcji zupy stanowiło często realny ratunek przed śmiercią głodową.

Przywilej palenia papierosów zarezerwowany był dla kapo, którzy co tydzień otrzymywali stały przydział bonów; zdarzało się także, że więzień pracujący jako kapo w magazynie czy w warsztacie mógł liczyć na kilka papierosów w zamian za wykonywanie bardziej niebezpiecznych prac. Jedyne wyjątkiem od tej reguły stanowili ci, którzy utracili już wszelką wolę walki i chcieli „cieszyć się” swoimi ostatnimi dniami. Widząc zatem palącego papierosa współwięźnia, wiedzieliśmy, że utracił on siły do dalszego życia; zdawaliśmy sobie też sprawę, że raz utracona wola przeżycia rzadko kiedy powraca.

Analizując olbrzymią ilość materiałów dotyczących obserwacji i świadectw niezliczonych więźniów, można wyraźnie określić trzy etapy psychicznych reakcji człowieka na pobyt w obozie: faza następująca tuż po przybyciu, stadium głębokiego wejścia w rutynę życia obozowego i okres następujący po wyzwoleniu z obozu.

Symptodem charakterystycznym dla pierwszego etapu jest szok. W pewnych warunkach wstrząs może być odczuwany jeszcze przed oficjalnym przyjęciem więźnia do obozu. Przykładem takiej sytuacji mogą być okoliczności towarzyszące mojemu własnemu przyjazdowi do Auschwitz.

Kilka dni i kilka nocy półtora tysiąca ludzi podróżowało bez przerwy w zamkniętym pociągu, po osiemdziesiąt osób w każdym wagonie. Trzeba było leżeć na swoim bagażu, tych kilku osobistych drobiazgach, które pozwolono nam ze sobą zabrać. Wagony były do tego stopnia przepełnione, że tylko przez górne krawędzie okien wpadało do środka szare światło świtu. Wszyscy spodziewali się, że pociąg zmierza do jakiejś fabryki uzbrojenia, w której zostaniemy zatrudnieni w charakterze robotników przymusowych. Nie wiedzieliśmy, czy wciąż jeszcze znajdujemy się na terytorium Śląska, czy też jesteśmy już w Polsce. Przenikliwy dźwięk gwizdka lokomotywy sprawiał upiorne wrażenie; był niczym wołanie o pomoc, wyraz współczucia maszyny dla nieszczęsnego ładunku, jaki przyszło jej wieźć na zatracenie. W pewnym momencie pociąg zwolnił, najwyraźniej zbliżając się do jakiejś stacji. Wśród zaniepokojonych pasażerów podniósł się krzyk: „Widać tablice, jesteśmy w Auschwitz!”. Serca wszystkich zamarły na ułamek sekundy. Auschwitz – ta nazwa zawierała w sobie wszystko, co najgorsze: komory gazowe, krematoria, masowe mordy. Pociąg nadal się poruszał, wolno, niemal z wahaniem, jakby chciał jak najdłużej oszczędzić swoim pasażerom bolesnej prawdy: to rzeczywiście było Auschwitz!

W świetle wstającego dnia oczom naszym ukazały się zarysy olbrzymiego obozu: ciągnące się w kilku rzędach ogrodzenie z drutu kolczastego, wieże wartownicze, reflektory, a w tle długie kolumny wynędzniałych ludzkich postaci, szarych w szarym świetle poranka, zdażających dokądś po prostych, opustoszałych drogach, dokąd – tego nie wiedzieliśmy. Od czasu do czasu dobiegały nas pojedyncze okrzyki i rozkazujące gwizdy. Nie znaliśmy jeszcze ich znaczenia. Wyobrażenia podsuwała mi obrazy szubienic z powieszonymi na nich ludźmi.

Byłem przerażony, ale to nie miało znaczenia, jako że odtąd z każdym dniem musieliśmy przyzwyczajać się do coraz większych i bardziej przerażających potworności.

W końcu wjechaliśmy na stację. Początkową ciszę szybko przerwały głośno wykrzykiwane komendy. Od tego dnia mieliśmy już stale słyszeć te szorstkie, nieprzyjemne głosy rozlegające się raz za razem we wszystkich kolejnych obozach. Brzmiały zupełnie jak ostatnie wołanie ofiary, istniała jednak pewna różnica. Głosy te były zgrzytliwe, ochryple, jakby wydobywały się z gardeł ludzi nawykłych do krzyku, ludzi mordowanych raz za razem. Drzwi wagonów stały otworem i natychmiast do środka wpadł niewielki oddział więźniów. Mieli na sobie pasiaki, a ich głowy były ogolone, wyglądali jednak na dobrze odżywionych. Mówili wszystkimi możliwymi europejskimi językami, przejawiając pewne poczucie humoru, które wydawało się groteskowe w zaistniałych okolicznościach. Jak tonący chwytą się brzytwy, tak mój wrodzony optymizm (który często decydował o moich odczuciach nawet w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach) kazał mi trzymać się kurczowo jednej myśli: „Ci więźniowie całkiem dobrze wyglądają, wydają się być w dobrych humorach, nawet się śmieją. Kto wie? Może uda mi się podzielić ich los”.

W psychologii istnieje zjawisko znane jako „iluzja odroczenia wyroku”. Na krótko przed egzekucją skazaniec ulega silnemu złudzeniu, że w ostatniej chwili zostanie ułaskawiony. My także czepialiśmy się rozpaczliwie podobnego złudzenia i do ostatniej chwili wierzyliśmy, że w obozie nie będzie aż tak źle. Już sam widok rumianych policzków i zaokrąglonych twarzy tamtych więźniów wystarczył, aby obudzić w nas nadzieję. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że należą oni do starannie wybranej elity, przez lata witającej przybywające każdego dnia nowe transporty. Zajmowali się nowo przybyłymi i ich bagażem zawierającym skąpy dobytek, a czasami kilka sztuk przemyconej biżuterii. Auschwitz musiało być niezwykle miejscem w Europie ostatnich lat wojny; unikatowe skarby ze złota i srebra, platyny oraz diamentów trafiały nie tylko do

ogromnych obozowych magazynów, ale też w ręce esesmanów.

Półtora tysiąca nowych więźniów zamknięto następnie w baraku mogącym pomieścić najwyżej dwieście osób. Byliśmy zmarznięci i głodni. Brakowało miejsca, aby każdy mógł choćby przykucnąć na gołej ziemi, nie mówiąc już o położeniu się. Jeden stuczerdziestogramowy kawałek chleba musiał nam wystarczyć na cztery dni, a mimo to słyszałem, jak starsi rangą więźniowie pilnujący baraku targowali się z jednym z członków „grupy powitalnej” o spinkę do krawata, zrobioną z platyny i diamentów. Większość zapłaty została następnie wymieniona na alkohol – sznaps. Nie pamiętam już, ile tysięcy marek trzeba było wydać, aby otrzymać ilość sznapsa wystarczającą, żeby spędzić „wesoły wieczór”, wiem jednak, że tamci więźniowie, od lat przebywający w obozie, rzeczywiście potrzebowali alkoholu. Kto mógłby ich winić za to, że w podobnych okolicznościach próbowali się znieczulić? W obozie była jeszcze jedna grupa więźniów, która otrzymywała od esesmanów alkohol w praktycznie nieograniczonych ilościach: byli to ludzie pracujący w komorach gazowych i krematoriach, którzy zdawali sobie sprawę, że pewnego dnia zastąpi ich nowa zmiana, oni zaś będą musieli porzucić swą wymuszoną funkcję kata i sami stać się ofiarami.

Niemal wszyscy przybyli w naszym transporcie żyli złudzeniem, iż w ostatniej chwili zostaną ułaskawieni i wszystko jednak dobrze się skończy. Nie rozumieliśmy znaczenia sceny, która już wkrótce miała się rozegrać na naszych oczach. Kazano nam zostawić bagaże w wagonach, stanąć w dwu szeregach – kobiety po jednej, mężczyźni po drugiej stronie – i przedefilować przed starszym rangą oficerem SS. Co zaskakujące, wystarczyło mi jeszcze odwagi, aby ukryć pod płaszczem swój chlebak. Jeden za drugim przechodziliśmy przed oficerem. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli dostrzeże on schowaną pod moim płaszczem torbę, może się to dla mnie źle skończyć. W najlepszym wypadku mnie uderzy; wiedziałem o tym z własnego doświadczenia. Podchodząc do niego, instynktownie się wyprostowałem, żeby nie zauważył mojego

brzemienia. W następnej chwili stanąłem z nim twarzą w twarz. Był to wysoki, szczupły mężczyzna; w swoim nieskazitelnym mundurze wyglądał na wysportowanego. Jakże wielki stanowił kontrast z nami, tak umęczonymi i brudnymi po długiej podróży! Oficer przybrał pozę swobodną i lekceważącą, podpierając prawy łokieć lewą dłonią. Prawą dłoń trzymał uniesioną i palcem wskazującym leniwie wskazywał to na prawo, to na lewo. Nikt z nas choćby w najmniejszym stopniu nie zdawał sobie wtedy sprawy ze złowieszczonego znaczenia łagodnych ruchów tego wyprostowanego palca, wskazującego to na prawo, to na lewo, lecz coraz częściej na lewo.

Nadeszła moja kolej. Ktoś szeptem poinformował mnie, że skierowanie w prawo oznaczało pracę, na lewo zaś odsyłani byli wszyscy chorzy i niezdolni do pracy, którzy mieli zostać przewiezieni do innego obozu. Zrezygnowany postanowiłem spokojnie czekać na to, co przyniesie los; jak się później okazało, w przyszłości miałem wielokrotnie postępować w podobny sposób. Ciężar chlebaka sprawiał, że przechylałem się lekko w lewą stronę, starałem się jednak ze wszystkich sił prosto maszerować. Esesman obrzucił mnie wzrokiem, następnie jakby się zawahał i oparł mi obie dłonie na ramionach. Usiłowałem nadać swojemu spojrzeniu pewny sobie wyraz. Oficer obrócił mnie wolno, bardzo wolno, aż stanąłem zwrócony twarzą w prawą stronę i na tę też stronę przeszedłem.

Wieczorem objaśniono nam znaczenie tej zabawy ze wskazywaniem więźniów palcem. Było to nic innego jak pierwsza selekcja – oto po raz pierwszy zapadł wyrok decydujący o czymś istnieniu bądź zagładzie. Dla przeważającej większości naszego transportu, około 90 procent, oznaczał on śmierć. Wyrok wykonano w ciągu najbliższych kilku godzin. Ci, którym kazano stanąć po lewej stronie, prosto ze stacji zostali odprowadzeni do krematorium. Jak się później dowiedziałem od kogoś, kto tam pracował, na drzwiach budynku widniały tablice z napisem „łaźnia” w kilku europejskich językach. Przy wejściu każdy więzień dostawał

kawałek mydła, a potem... litościwie powstrzymam się od opisywania wydarzeń, które potem następowały. Koszmar ten był już wystarczająco często opisywany.

Ci, którzy ocaleli – zdecydowana mniejszość naszego transportu – dopiero wieczorem odkryli prawdę. Zapytałem więźniów, którzy przebywali już jakiś czas w obozie, dokąd to zabrano mojego kolegę po fachu i przyjaciela, P.

– Skierowano go na lewo?

– Tak – odparłem.

– W takim razie zaraz go zobaczysz – usłyszałem.

– Gdzie? – Czyjaś ręka wskazała oddalony o kilkaset metrów od nas komin, z którego prosto w szare, polskie niebo strzelał słup ognia, by po chwili rozwiać się w złowrogą chmurę dymu.

– Tam jest teraz twój przyjaciel, w drodze do nieba – brzmiała odpowiedź. Ja jednak wciąż niczego nie rozumiałem, dopóki nie wy tłumaczono mi tego w bardziej dosadny sposób.

Ale wybiegam z nadto naprzód. Z psychologicznego punktu widzenia czekała nas jeszcze bardzo długa droga, począwszy od tamtego świtu na stacji do naszego pierwszego wieczornego spoczynku w obozie.

Eskortowani przez esesmanów z załadowanymi do strzału karabinami zostaliśmy zmuszeni, aby biegiem opuścić peron, a następnie popędzono nas wzdłuż znajdujących się pod napięciem drutów kolczastych, przez obóz, aż do miejsca, gdzie odbywała się kąpiel i dezynfekcja; na tych z nas, którzy pozytywnie przeszli pierwszą selekcję, czekała tu prawdziwa łaźnia. I znowu nasza nadzieja na odroczenie wyroku znalazła swoje potwierdzenie. Towarzyszący nam esesmani sprawiali wrażenie niemal czarujących. Wkrótce jednak odkryliśmy przyczynę takiego stanu rzeczy. Byli dla nas mili tak długo, jak długo widzieli na naszych przegubach zegarki; przekonywali nas wówczas życzliwym tonem, abyśmy je oddali. Myśleliśmy wówczas, że przecież i tak przyjdzie nam oddać cały dobytek, a skoro tak, to czemu nie oddać zegarka w ręce stosunkowo życzliwego człowieka? Kto wie, może pewnego dnia nam się za to odwdzięczy.

Czekaliśmy w szopie, która wyglądała jak przedsionek łaźni. Nagle pojawili się esesmani i rozłożyli przed nami koce, na które rozkazali rzucać wszystkie rzeczy osobiste, zegarki i biżuterię. Wśród nas wciąż znajdowali się naiwni, którzy pytali, ku rozbawieniu bardziej doświadczonych więźniów obecnych tam jako pomocnicy strażników, czy nie mogliby zatrzymać obrączki, odznaczenia albo osobistego talizmanu. Nikt jeszcze nie pojmował, że już wkrótce absolutnie wszystko zostanie nam odebrane.

Ja sam podjąłem próbę zawierzenia jednemu ze starszych więźniów. Zbliżywszy się do niego ukradkiem, pokazałem mu zwój papierów w wewnętrznej kieszeni płaszcza i powiedziałem: – Proszę spojrzeć, to rękopis książki naukowej. Wiem, co pan zaraz powie: powinienem się cieszyć z tego, iż uszedłem z życiem i że nie mogę oczekiwać od losu niczego więcej. Ale to silniejsze ode mnie. Za wszelką cenę muszę zachować ten rękopis, to owoc pracy całego mojego życia. Czy pan to rozumie?

Wydawało się, że mój rozmówca rzeczywiście zaczyna coś rozumieć. Z wolna jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu, najpierw pełnym pożałowania, potem coraz bardziej rozbawionym, wręcz kpiącym, obraźliwym, a potem z jego ust padło tylko jedno słowo, słowo wszechobecne w słowniku obozowych więźniów: „Gównol”. W tej samej chwili zrozumiałem okrutną prawdę i zrobiłem coś, co uznałem później za punkt kulminacyjny pierwszego etapu moich psychicznych reakcji: przekreśliłem całe moje dotychczasowe życie.

Nagle poruszenie dało się dostrzec wśród moich współtowarzyszy, którzy stali wokół mnie z bladymi, przełkniętymi twarzami, bezradnie nad czymś debatując. Po raz kolejny rozległy się ochryple wykrzykiwane komendy. Uderzeniami zagnano nas do bezpośredniego przedsionka łaźni. Tam zgromadziliśmy się wokół eses-mana, który czekał, aż wszyscy znajdą się w środku. Dopiero wówczas oznajmił: – Daję wam dwie minuty z zegarkiem w ręku. W ciągu tych dwóch minut macie się rozebrać do naga i rzucić ubranie na podłogę

tam, gdzie stoicie. Nie zabierzecie ze sobą niczego, z wyjątkiem butów, pasków i podwiązek, ewentualnie pasów ortopedycznych. Zaczynam odliczanie – w tej chwili!

Z niewyobrażalnym pośpiechem ludzie zaczęli zdzierać z siebie ubranie. W miarę nieubłaganego upływu czasu stawaliśmy się coraz bardziej nerwowi, niezdarnie ściągając z siebie bieliznę, szarpiąc za paski i sznurowadła. W pewnym momencie usłyszeliśmy pierwsze odgłosy chłosty – skórzane pasy spadały wprost na nasze nagie ciała.

Po chwili przegoniono nas do innego pomieszczenia, gdzie mieliśmy zostać ogoleni. Dotyczyło to nie tylko naszych głów; na całym ciele nie miał prawa pozostać ani jeden włos. Następnie przyszła kolej na prysznice, gdzie znowu ustawiono nas rzędami. Z trudem rozpoznawaliśmy siebie nawzajem, lecz ku wielkiej uldze niektórych z nas okazało się, że z pryszniców ciurka woda.

Gdy tak czekaliśmy na kąpiel, uderzyła nas nasza własna nagość: rzeczywiście, nie posiadaliśmy teraz niczego z wyjątkiem naszych nagich ciał, огоłoconych nawet z włosów; jedyną rzeczą, której nam nie odebrano, była – dosłownie – nasza naga egzystencja. Zapytacie, czy pozostawiono nam cokolwiek, co mogłoby stanowić ma-terialny łącznik z naszym dotychczasowym życiem? W moim przypadku były to okulary i pasek; ten ostatni przyszło mi później wymienić na kawałek chleba. Właściciele pasów ortopedycznych nie wiedzieli jeszcze, że czekają ich dodatkowe emocje. Wieczorem więzień funkcyjny odpowiadający za nasz barak wygłosił na nasze powitanie mowę, w której dał nam słowo honoru, że osobiście powiesi „na tej belce” – mówiąc to wskazał na sufit – każdego, kto zaszył w swoim pasie pieniądze lub kosztowności. Z dumą oznajmił nam, że z uwagi na czas, jaki spędził w obozie, uprawnia go do tego obozowy regulamin.

Jeśli chodzi o buty, sprawa nie była wcale taka prosta. Choć teoretycznie wolno nam było je zatrzymać, posiadacze nieco bardziej przyzwoitego obuwia zmuszeni byli je oddać, a w zamian otrzymywali buty, które w ogóle na nich nie

pasowały. Ale prawdziwe kłopoty czekały tych, którzy posłuchali z pozoru życzliwej rady (udzielonej im przed wejściem do łaźni przez starszych stażem więźniów), aby skrócić swoje oficerki poprzez odcięcie cholewek i zasmarować krawędzie mydłem w celu ukrycia tego aktu sabotażu. Esesmani zdawali się tylko czekać na taką okazję. Wszystkich podejrzanych o tę zbrodnię odprowadzono do sąsiedniego pomieszczenia. Po pewnym czasie ponownie dobiegły nas stamtąd odgłosy chłosty i rozpaczliwe krzyki torturowanych ludzi. Tym razem trwało to trochę dłużej.

Tak oto jedno po drugim rozwiewały się nasze kolejne złudzenia i nagle, całkiem niespodziewanie, u większości z nas do głosu doszedł czarny humor. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie mamy nic do stracenia – nic poza własnym życiem, tak absurdalnie odartym z wszelkiej godności. Kiedy z pryszniców pociekła woda, ze wszystkich sił próbowaliśmy wykrzesać z siebie odrobinę radości, żartując z siebie i innych. Jakby nie było, z sitek nad naszymi głowami płynęła prawdziwa woda!

Poza tym zaskakującym przypływem czarnego humoru daliśmy się ponieść jeszcze jednemu uczuciu: ciekawości. Doświadczyłem już kiedyś czegoś podobnego – ciekawości jako fundamentalnej reakcji na pewne niezwykle okoliczności. Gdy podczas wspinaczki w górach moje życie było zagrożone, w krytycznym momencie odczuwałem tylko jedno: ciekawość. Byłem ciekaw, czy przeżyję, a jeśli tak, to czy wyjdę z tego z pękniętą czaszką, czy z innymi urazami.

Chłodna ciekawość królowała nawet w takim miejscu jak Auschwitz, zobojętniając niejako człowieka na otaczającą go rzeczywistość; dzięki temu można było spoglądać na nią z pewną dozą obiektywizmu. W owym czasie kultywowaliśmy w sobie ów stan umysłu, traktując go jako rodzaj psychicznej samoobrony. Wszyscy obawialiśmy się, co spotka nas w przyszłości – na przykład konsekwencji tego, że stoimy oto na dworze całkiem nadzy, wciąż mokrzy po kąpieli, drżący w chłodnym, późnojesiennym powietrzu. W ciągu kolejnych kilku dni ciekawość nasza ewoluowała, ustępując miejsca

zdziwieniu – zdziwieniu na myśl, że jednak się nie przeziębiliśmy.

Nowo przybyłych czekało w obozie wiele takich niespodzianek. Ci spośród nas, którzy mieli wykształcenie medyczne, przekonali się przede wszystkim o jednym: „Podręczniki kłamią!”. Mówi się, że człowiek umiera, jeśli pozbawić go snu przez określoną liczbę godzin. Nic podobnego! Wcześniej trwałem w przekonaniu, że pewnych rzeczy po prostu nie jestem w stanie zrobić: nie zasnę bez tego, nie przeżyję bez tamtego... Naszą pierwszą noc w Auschwitz spędziliśmy na piętrowych pryczach. Na każdej pryczy (o wymiarach około dwa na dwa i pół metra) spało, bezpośrednio na gołych deskach, dziewięć osób. Każda dziewiątka musiała dzielić między sobą dwa koce. Rzecz jasna, mogliśmy leżeć wyłącznie na boku, stłoczeni i przyciśnięci do siebie, co miało pewne zalety z uwagi na przenikliwy ziąb. Chociaż wnoszenie butów na prycze było zabronione, niektórzy używali ich potajemnie zamiast poduszek, choć całe były oblepione błotem. W przeciwnym razie głowa śpiącego musiałaby spoczywać w zgięciu niemalże wykręconego ramienia. A mimo to sen jednak przychodził i choć na parę godzin przynosił zapomnienie i ulgę w cierpieniu.

Chciałbym wspomnieć w tym miejscu o kilku innych zaskakujących zjawiskach, które dowodzą, jak wiele jest w stanie znieść człowiek: w obozie nie mogliśmy myć zębów, a jednak pomimo to i na przekór dotkliwemu brakowi witamin nasze dziąsła były zdrowsze niż kiedykolwiek. Przez pół roku nosiliśmy te same koszule, dopóty, dopóki nie zamieniły się w łachmany. Z powodu zamarzniętych rur całymi dniami nie mieliśmy możliwości się wykapać czy choćby częściowo podmyć, a jednak rany i otarcia na dłoniach, które nieustannie były brudne od kopania w ziemi, nie ropiały (oczywiście o ile w grę nie wchodziły odmrożenia). Człowiek mający dotychczas lekki sen i budzony bodaj najłżejszym hałasem dochodzącym zza ściany leżał teraz wtulony we współtowarzysza, który głośno chrapał o parę centymetrów od jego ucha, i jakby nigdy nic spał głębokim snem.

Gdyby ktoś nas zapytał, na ile prawdziwe jest słynne zdanie Dostojewskiego, który beznamietnie twierdził, iż człowiek jest istotą zdolną przyzwyczać się absolutnie do wszystkiego, odparlibyśmy: „Tak, człowiek może przyzwyczać się do wszystkiego, lecz nie pytajcie nas, jak to się dzieje”. Na razie jednak nasze badania psychologiczne nie zaprowadziły nas daleko; również my, więźniowie, nie zbliżyliśmy się jeszcze do owego stanu. Nadal znajdowaliśmy się na pierwszym etapie naszych reakcji psychicznych.

W tej fazie niemal każdy, choćby przez chwilę, rozważał możliwość odebrania sobie życia. Myśl o samobójstwie rodziła się pod wpływem beznadziejności sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, ciągłego śmiertelnego zagrożenia, wiszącego nad nami każdego dnia, w każdej godzinie, oraz bliskości śmierci, która tak często dotykała innych wokół nas. Ze względu na osobiste przekonania, o których będzie mowa później, już pierwszego wieczoru w obozie poprzysięgłem sobie uroczyście, że „nie rzucę się na druty”. Tak nazywano w obozie najbardziej powszechną metodę samobójstwa polegającą na dotknięciu znajdującego się pod wysokim napięciem ogrodzenia z drutu kolczastego. Podjęcie takiej decyzji nie było wcale trudne. Odbieranie sobie życia nie miało większego sensu, skoro dla przeciętnego więźnia szanse przeżycia – kalkulując obiektywnie i biorąc pod uwagę wszystkie możliwości – i tak były przecież bardzo nikłe. Człowiek nie mógł mieć żadnej pewności, że znajdzie się w tym nielicznym gronie, które przetrwa wszystkie selekcje. Więzień Auschwitz w pierwszej fazie szoku nie bał się śmierci. Przez pierwszych kilka dni nie przerażały go nawet komory gazowe – w końcu to one stanowiły przyczynę, dla której nie posuwał się do samobójstwa.

Znajomi, z którymi się później spotykałem, opowiadali mi, że byłem jednym z tych więźniów, na których pierwszy szok po przybyciu do obozu nie wpłynął szczególnie przygnębiająco. Uśmiechałem się tylko, i to całkiem szczerze, będąc świadkiem pewnego zdarzenia, jakie miało miejsce rankiem po naszej pierwszej nocy spędzonej w Auschwitz. Wbrew wyraźnemu

zakazowi opuszczania „bloku”, jednemu z mych kolegów po fachu, który przebywał w obozie już od kilku tygodni, udało się jakoś „przeszmuglować” do naszego baraku. Chciał nas uspokoić, pocieszyć i uprzedzić o paru sprawach. Wychudł do tego stopnia, że w pierwszej chwili w ogóle go nie poznaliśmy. On zaś, demonstrując dobry humor i niefrasobliwość, udzielił nam pośpiesznie kilku dobrych rad: – Nie bójcie się! Nie obawiajcie się selekcji! Doktor M. (szef medyczny SS) ma słabość do lekarzy (mylił się: życzliwe słowa mego znajomego wprowadziły nas w błąd. Jeden z więźniów, lekarz na tak zwanym rewirze, liczący sobie około sześćdziesięciu lat, opowiadał mi, jak błagał doktora M., aby ocalił jego syna, który był przeznaczony do gazu. Doktor M. chłodno mu odmówił).

– Błagam was tylko o jedno – mówił dalej mój kolega. – Gólcie się codziennie, jeśli to możliwe, nawet gdybyście musieli używać do tego kawałka szkła... Nawet gdyby kosztowało to was ostatnią kromkę chleba. Dzięki temu będziecie młodziej wyglądali, a wasze policzki będą robiły wrażenie zarumienionych. Tutaj jest tylko jeden sposób, żeby przeżyć: trzeba wyglądać na zdolnego do pracy. Nawet jeśli będziecie tylko lekko utykać, bo – powiedzmy – zrobił się wam na pięcie mały pęcherz, a esesman to zauważy, każe wam przejść na bok i możecie być pewni, że następnego dnia zostaniecie zagazowani. Wiecie, co tutaj znaczy być „muzułmaninem”? To ktoś, kto źle wygląda, jest wyczerpany, chory, wychudzony i kto nie nadaje się już do ciężkiej pracy fizycznej... To właśnie jest „muzułmanin”. Prędzej czy później – zazwyczaj prędzej – każdy „muzułmanin” trafia do komory gazowej. Pamiętajcie więc: macie się golić, stać prosto i równo chodzić, a wtedy nie będziecie musieli obawiać się zagazowania. Wszyscy, jak tu stoicie, mimo że jesteście tu dopiero od dwudziestu czterech godzin, nie musicie bać się zagazowania – może z wyjątkiem ciebie. – Mówiąc to, wskazał na mnie. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe szczerości. – A zwracając się do pozostałych, dodał: – Z was wszystkich on jest jedynym, który musi obawiać się następnej selekcji. Więc już się nie martwcie!

Ja zaś się uśmiechnąłem. Dzisiaj jestem przekonany, że każdy inny na moim miejscu zrobiłby tego dnia to samo.

Wydaje mi się, że to Lessing powiedział: „Istnieją rzeczy, w obliczu których musimy tracić rozsądek; w przeciwnym razie okazałoby się, że już dawno go straciliśmy”. Nienormalna reakcja na nienormalną sytuację jest normą. Nawet my, psychologowie, spodziewamy się, że w sytuacji nienormalnej, jaką jest na przykład pobyt w zakładzie zamkniętym, reakcja człowieka będzie nienormalna wprost proporcjonalnie do stopnia jego normalności. Reakcja człowieka, który nagle znalazł się w obozie koncentracyjnym, również jest odzwierciedleniem nienormalnego stanu umysłu, lecz obiektywnie rzecz biorąc, jest ona reakcją normalną i – jak zostanie dowiedzione później – typową dla danej sytuacji. Opisywane przeze mnie reakcje ulegały zmianie na przestrzeni kilku dni. Więzień przechodził od etapu pierwszego do drugiego; było to stadium względnej apatii, kiedy to człowiek doznaje czegoś na kształt emocjonalnej śmierci.

Poza już przedstawionymi reakcjami nowo przybyły więzień dręczony był przez inne, niezmiernie bolesne odczucia, które usiłował w sobie zagłuszyć. Przede wszystkim dokuczała mu ogromna tęsknota za domem i rodziną. Była ona często tak przejmująca, że człowiek wręcz umierał z tęsknoty. Do tego dochodziła odraza – odraza na widok otaczającej go zewsząd ohydy, w tym jej czysto zewnętrznych przejawów.

Wszyscy więźniowie otrzymywali pasiaki – były to łachmany, przy których ubiór stracha na wróble prezentowałby się naprawdę elegancko. Teren obozu między barakami pokrywał najgorszy brud, a im bardziej człowiek starał się go uprzątnąć, tym bardziej sam stawał się brudny. Popularną praktyką było wcielanie nowo przybyłych do komanda, które zajmowało się czyszczeniem latryn i usuwaniem nieczystości. Gdy podczas przewożenia ekskrementów po wyboistym gruncie – jak się to często zdarzało – zawartość beczki chlusnęła temu czy innemu więźniowi w twarz, jakakolwiek oznaka odrazy lub próba

wytarcia się pociągała za sobą natychmiastową karę – cios wymierzony przez czujnego kapo. W ten sposób zobojętnienie naturalnych reakcji postępowało znacznie szybciej.

Początkowo nowy więzień odwracał wzrok, widząc karny przemarsz innej grupy; nie mógł znieść widoku współwięźniów maszerujących godzinami w tę i z powrotem w głębokim błocie, poganianych brutalnymi uderzeniami. Po kilku dniach czy tygodniach wszystko to się zmieniało. Wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, więzień stawał przed bramą wraz ze swym komandem, gotów do wymarszu. Słyszał krzyk i widział, jak jego towarzysz upada, jest stawiany na nogi, lecz kolejny cios sprawia, że znów się przewraca – i dlaczego? Bo miał gorączkę i o niewłaściwej porze zgłosił się do lazaretu. Karano go w ten sposób za nieuczciwą próbę wymigania się od swoich obowiązków.

Lecz więzień znajdujący się na drugim etapie psychicznych reakcji nie odwraca już wzroku. Jego odczucia zobojętniały i niewzruszony obserwuje rozgrywającą się przed nim scenę. Inny przykład: więzień oczekuje na przyjęcie w lazarecie. Ma nadzieję, że z uwagi na swe urazy, obrzęk czy gorączkę zostanie skierowany na dwa dni do lżejszej pracy na terenie obozu. Niewzruszony patrzy, jak wnoszą dwunastoletniego chłopca, zmuszonego całymi godzinami stać na baczność na śniegu albo pracować boso na zewnątrz, gdyż w całym obozie nie było dla niego butów. Ma odmrożone palce u nóg i dyżurny lekarz jeden po drugim oddziera szczypcami czarne, gangrenowate kikuty. Obrzydzenie, przerażenie i współczucie to emocje, których nasz widz już właściwie nie odczuwa. Po kilku tygodniach życia w obozie cierpiący, umierający i umarli stają się dla niego tak pospolitym widokiem, że nic go już nie wzrusza.

Spędziłem pewien czas w baraku dla chorych na tyfus. Gorączkowali, często majaczyli, wielu z nich było umierających. Jeden z nich właśnie skonał, a ja bez żadnych emocji obserwowałem scenę, która powtarzała się w takim przypadku raz za razem. Jeden po drugim więźniowie podchodzili do wciąż

ciepłego ciała. Jeden pochwycił niedojedzone resztki kartofli; inny uznał, że drewniane chodaki trupa są lepsze niż jego własne obuwie, więc je zamienił; trzeci zrobił to samo z kurtką zmarłego; a jeszcze inny bardzo się cieszył, że udało mu się zdobyć kawałek – proszę to sobie wyobrazić! – prawdziwego sznurka.

Obserwowałem to wszystko nieporuszony. Na koniec poprosiłem „pielęgniara”, żeby zabrał ciało. On zaś chwycił trupa za nogi, pozwalając mu spaść w wąskie przejście między dwoma rzędami desek pełniących funkcję łóżek dla pięćdziesięciu chorych na tyfus i powłókł ciało po nierównym klepisku w stronę drzwi. Dwa stopnie schodów prowadzących na zewnątrz zawsze stanowiły problem, jako że wszyscy byliśmy wyczerpani z powodu chronicznego niedożywienia. Po kilku miesiącach pobytu w obozie nie byliśmy w stanie pokonać tych dwóch stopni, mierzących jakieś piętnaście centymetrów każdy, nie opierając rąk o framugi, żeby się podciągnąć.

Pielęgniarz zbliżył się zatem do schodów i z wysiłkiem podciągnął do góry. Następnie wciągnął na schody ciało: najpierw stopy, potem tułów. Wreszcie, wydając przy tym niesamowity, grzechoczący odgłos, głowa trupa, podskakując, pokonała dwa kamienne stopnie.

W tym czasie znajdowałem się po przeciwnej stronie baraku, w pobliżu jedyne okienka wbudowanego w ścianę tuż nad podłogą. Zaciskając zmarznięte dłonie na misce gorącej zupy, pożywiałem się łapczywymi łykami. Nagle spojrzałem w okno. Trup, który dopiero co został wyniesiony na zewnątrz, wpatrywał się we mnie szklanymi oczyma. Dwie godziny wcześniej rozmawiałem jeszcze z tym człowiekiem; teraz spokojnie jadłem zupę.

Nie pamiętałbym dzisiaj tego zdarzenia, gdyby ów brak emocjonalnej reakcji nie wzbudził mojego zawodowego zainteresowania – tak nieistotne mi się ono wówczas wydawało.

Apatia, stępienie emocji i poczucie, że nic już nas nie obchodzi – objawy te nasilały się podczas drugiego etapu

psychicznych reakcji więźnia, pozwalając mu uodpornić się na codzienne cierpienia i bicie. Nabyty brak wrażliwości pozwalał mu otoczyć się jakże wówczas niezbędnym pancerzem ochronnym.

Wystarczył najmniejszy pretekst, aby zasłużyć na bicie, a czasem powód nie był nawet potrzebny. Na przykład: chleb racjonowany był w miejscu pracy i musieliśmy ustawiać się po niego w kolejce. Pewnego razu człowiek stojący za mną wysunął się nieco w bok z szeregu i ten brak symetrii wielce nie spodobał się pilnującemu nas esesmanowi. Nie wiedziałem, co działo się za moimi plecami ani w umyśle strażnika, ale nagle na moją głowę spadły dwa silne uderzenia. Dopiero wtedy zauważyłem stojącego obok esesmana z pałą w ręce. W takich chwilach ból fizyczny nie jest najbardziej dojmujący (dotyczy to zarówno dorosłych, jak i karanych dzieci); najgorsze jest psychiczne cierpienie wywołane poczuciem niesprawiedliwości, niedorzecznością danej sytuacji.

Co ciekawe, cios, który chybiał celu, potrafił być – w pewnych okolicznościach – bardziej bolesny niż ten, który weń trafiał. Stałem kiedyś na torach kolejowych w szalejącej śnieżycy. Pomimo niesprzyjającej pogody nasze komando musiało kontynuować pracę. Wkładałem więc cały wysiłek w sypanie żwiru między podkłady, jako że był to jedyny sposób, żeby się jakoś rozgrzać. W pewnym momencie przerwałem, aby złapać oddech i oparłem się na szpadlu. Niestety, w tej samej chwili strażnik odwrócił się w moją stronę i uznał, że się lenię. Ból, który wówczas poczułem, nie był wywołany obelgami czy biciem. Tamten strażnik nie zadał sobie trudu, aby rzucić choćby jedno słowo, bodaj jedno przekleństwo, w kierunku stojącej przed nim wynędzniałej postaci, zapewne tylko z grubsza przypominającej człowieka. Zamiast tego wołał podnieść kamień i cisnąć nim we mnie od niechcenia. W moim odczuciu gest ten równał się przywołaniu do porządku zwierzęcia; tak samo zapędza się czasem do pracy bydlęta. W oczach tego człowieka byłem stworzeniem, z którym łączyło go tak niewiele, że wręcz szkoda mu było zachodu, by je

ukarać.

Najbardziej bolesną rzeczą w biciu jest zamierzona obraza, jakiej jest ono wyrazem. Pewnego razu musieliśmy taszczyć długie, ciężkie dźwigary po oblodzonych torach. Pośliznięcie się jednego z nas groziło upadkiem nie tylko jemu, ale wszystkim dźwigającym to samo brzemie. Jeden z moich dobrych znajomych cierpiał na wrodzoną dysplazję stawu biodrowego. Cieszył się jednak, że mimo wszystko jest w stanie pracować, jako że podczas selekcji prawie wszyscy niesprawni fizycznie byli posyłani na śmierć w komorze gazowej. Tego dnia kuśtykał jednak z trudem po torach, uginając się pod szczególnie ciężkim dźwigarem; wyglądało na to, że w każdej chwili może upaść i pociągnąć innych za sobą. Ponieważ niczego akurat nie niosłem, bez namysłu skoczyłem mu na pomoc. Niemal natychmiast otrzymałem silne uderzenie w plecy i usłyszałem surowy głos nakazujący mi powrót na miejsce. Kilka minut wcześniej ten sam strażnik, który mnie uderzył, oznajmił nam z pogardą, że takim „świniom” jak my brakuje ducha koleżeńskej współpracy.

Kiedy indziej, w lesie, przy temperaturze minus szesnastu stopni Celsjusza, przekopywaliśmy zmarzniętą na kamień ziemię pod rury doprowadzające wodę. Byłem już wówczas bardzo wyczerpany fizycznie. Nagle podszedł do mnie pilnujący nas kapo o puciołowatych, zaróżowionych policzkach. Jego twarz wyglądała, wypisz wymaluj, jak ryj świni. Zauważyłem, że przed dotkliwym mrozem chronią go wspaniałe, ciepłe rękawice. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Instynktownie wyczułem zbliżającą się burzę; tuż przede mną leżała bowiem skiba ziemi stanowiąca wyraźny dowód na to, ile już przekopałem.

– Ty świniu – zaczął tamten. – Cały czas cię obserwuję! Poczekaj, nauczę cię jeszcze pracować jak należy! Niedługo będziesz gryzł tę ziemię – umrzesz tu jak zwierzę! W dwa dni cię wykończę! Nigdy w życiu nie kiwnąłeś palcem. Kim dawniej byłeś, świniu? Przedsiębiorcą?

Nie dbałem już o to, co się ze mną stanie, musiałem jednak

poważnie potraktować jego groźbę, wyprostowałem się więc i patrząc mu prosto w oczy odparłem: – Byłem lekarzem specjalistą.

– Co takiego? Lekarzem? Założę się, że wyciągnąłeś od ludzi mnóstwo pieniędzy.

– Tak się składa, że pracowałem głównie za darmo, w szpitalach dla ubogich. – Było to już o jedno zdanie za dużo. Kapo rzucił się na mnie i przewrócił na ziemię, wydzierając się przy tym jak opętany. Nie pamiętam już, co takiego wykrzykiwał.

Na przykładzie tej jakże banalnej historii pragnę pokazać, że bywały takie chwile, gdy nawet pozornie zahartowani i zobojętniali więźniowie dawali się ponieść oburzeniu – oburzeniu wynikającemu nie z doznanych okrucieństw czy bólu, lecz wywołanym towarzyszącymi im obelgami. Tamtego dnia krew uderzyła mi do głowy, ponieważ musiałem wysłuchiwać, jak człowiek, który nie miał pojęcia o tym, kim jestem i kim byłem, osądza moje życie; na dodatek był to człowiek (w tym miejscu muszę się do czegoś przyznać: komentarz, który zamierzam zacytować, a którym podzieliłem się ze współwięźniami wkrótce po tym incydencie, sprawia mi iście dziecinna satysfakcję) „tak prymitywny i brutalny, że pielęgniarka z ambulatorium mojego szpitala nie wpuściłaby go za próg poczekalni”.

Na szczęście kapo sprawujący pieczę nad naszym komandem był mi życzliwy; polubił mnie, bo cierpliwie wysłuchiwałem opowieści o jego miłosnych podbojach i kłopotach małżeńskich, którymi zasypywał mnie podczas naszych długich marszów na miejsce robót. Był też pod wrażeniem mojej oceny jego charakteru i moich psychoterapeutycznych porad. W związku z tym odczuwał wobec mnie coś w rodzaju wdzięczności, a to już wcześniej nieraz okazało się dla mnie bezcenne. W przeszłości kilkakrotnie zajmował dla mnie miejsce obok siebie w jednym z pierwszych pięciu rzędów podczas apelu naszego bloku liczącego zwykle dwustu osiemdziesięciu mężczyzn. Musieliśmy

ustawiać się na placu wczesnym świtem, gdy na zewnątrz było jeszcze ciemno. Wszyscy jak ognia baliśmy się spóźnienia i konieczności stania w ostatnich rzędach. Gdy trzeba było wyznaczyć ludzi do nieprzyjemnej czy nielubianej pracy, zjawiał się główny kapo i zazwyczaj wybierał potrzebnych mężczyzn właśnie z ostatnich rzędów. Musieli oni odmaszerować do innej, szczególnie znienawidzonej roboty, pod okiem obcych strażników. Zdarzało się, że główny kapo wybierał też więźniów z pierwszych pięciu rzędów, tylko dlatego żeby dać nauczkę tym, którzy usiłowali go przechytrzyć. Wszelkie protesty i błagania uciszane były kilkoma celnymi kopniakami, a wybrane ofiary pędzono na miejsce zbiórki przy wtórze wrzasków i uderzeń pałką.

Dopóki jednak „mój” kapo odczuwał potrzebę zwierzeń, dopóty udawało mi się unikać podobnego losu, miałem bowiem zagwarantowane honorowe miejsce u jego boku. Były również inne zalety tej sytuacji. Podobnie jak przeważająca większość więźniów obozu, również i ja cierpiałem na obrzęki. Moje nogi były tak spuchnięte, a skóra na nich tak naciągnięta, że zginanie kolan przychodziło mi z wielkim trudem. Nie mogłem zawiązywać butów, bo w przeciwnym razie nie wcisnąłbym w nie swoich obrzmiałych stóp. Gdybym miał skarpetki, i tak nie byłbym w stanie ich założyć – zwyczajnie nie zmieściłyby się w butach. Toteż moje częściowo odkryte, nagie stopy były zawsze mokre, a buty wciąż pełne śniegu. To zaś, rzecz jasna, powodowało odmrożenia i odmroziny. Każdy krok stawał się wówczas torturą. Podczas marszu przez pokryte śniegiem pola na naszych butach tworzyły się grudy lodu. Co rusz komuś zdarzało się pośliznąć, a wówczas inni również się potykali i wpadali na niego. Kolumna przystawała wtedy, ale nie na długo. Któryś ze strażników błyskawicznie zaprowadzał porządek i za pomocą kolby karabinu zmuszał więźniów do sprawnego powstania. Im bliżej czoła kolumny, tym rzadziej było się narażonym na te niespodziewane przestoje, a w konsekwencji na nadrabianie straconego czasu biegiem, na obolałych nogach. Czułem się naprawdę szczęśliwy w roli

osobiście mianowanego lekarza Jego Wysokości Kapo, gdy mogłem maszerować w pierwszym rzędzie przez nikogo niepoganiany.

W ramach dodatkowego wynagrodzenia za swoje usługi mogłem być pewien, że podczas codziennego przydziału zupy w terenie, kiedy nadejdzie moja kolej, kapo zanurzy chochlę głębiej, aż do samego dna kotła, i wyłowi dla mnie kilka ziaren grochu. Ów kapo, były oficer wojska, zdobył się nawet na odwagę, aby szepnąć na ucho swojemu koledze – temu samemu, któremu się wcześniej postawiłem – że jestem nadzwyczaj dobrym robotnikiem. Niewiele mi to wówczas pomogło, niewątpliwie jednak ocaliło mi życie (był to jeden z wielu takich przypadków). Nazajutrz po wspomnianym incydencie „mój” kapo przeschmugłował mnie do innego komanda.

Bywali też kapo, którzy się nad nami litowali i robili wszystko, co było w ich mocy, aby nam ulżyć, przynajmniej na placu budowy. Lecz nawet oni bez przerwy przypominali nam, że zwykły robotnik wykonuje kilkakrotnie więcej pracy od nas, i to w znacznie krótszym czasie. Okazywali jednak zrozumienie, gdy tłumaczyliśmy im, że zwykły robotnik nie jest zmuszony przetrwać o trzystu gramach chleba (teoretycznie – w praktyce często bywało go mniej) oraz niecałym litrze cienkiej zupy dziennie; zwykły robotnik nie musiał żyć w potwornym stresie, w jakim my żyliśmy, nieświadom losu swoich najbliższych, którzy trafili do innego obozu lub zostali od razu po przyjeździe zagazowani; zwykłemu robotnikowi nie groziła wreszcie śmierć – dzień w dzień, godzina po godzinie. Ośmieliłem się wręcz powiedzieć kiedyś pewnemu życzliwemu kapo: „Gdyby nauczył się pan ode mnie przeprowadzać operację na otwartym mózgu równie szybko, jak ja uczę się od pana budować tę drogę, miałbym dla pana ogromny szacunek”. On zaś uśmiechnął się w odpowiedzi.

Apatia, główny symptom drugiego etapu adaptacji do życia

w obozie, stanowiła konieczny mechanizm obronny. Rzeczywistość bladła, a wszystkie wysiłki i emocje były skoncentrowane na jednym tylko zadaniu: zachować własne życie i życie bliskiego sobie człowieka od zagłady. Często słyszało się, jak więźniowie, zaganiani po pracy pod wieczór z powrotem do obozu, wzdychają z ulgą: „No to przeżyliśmy kolejny dzień!”.

Łatwo pojąć, że egzystencja w stanie podobnego napięcia psychicznego, w połączeniu z ciągłą koniecznością skupiania się na podstawowym celu, jakim było przetrwanie, wymuszała na więźniach prymitywizację ich życia wewnętrznego. Kilku z przebywających ze mną w obozie kolegów po fachu, którzy posiadli wiedzę z zakresu psychoanalizy, często wspominało mi o obserwowanej u więźniów „regresji” – ucieczce w bardziej prymitywną formę życia psychicznego. Pragnienia i marzenia więźniów objawiały się wówczas najbardziej czytelnie w snach.

O czym najczęściej śnił więzień obozu koncentracyjnego? O chlebie, cieście, papierosach i długich, ciepłych kąpielach. Codzienna niemożność zaspokojenia powyższych potrzeb sprawiała, że szukaliśmy go w marzeniach sennych. To, czy cokolwiek dobrego z tego wynikało, to już zupełnie inna sprawa; śniący musiał się wszak kiedyś przebudzić do rzeczywistości obozowego życia i dostrzec kłujący kontrast pomiędzy nią a swymi sennymi rojeniami.

Nigdy nie zapomnę, jak pewnej nocy wyrwały mnie ze snu jęki mego współwięźnia, który rzucał się we śnie, najwyraźniej dręczony jakimś straszliwym koszmarem. Jako że zawsze niezmiennie współczułem ludziom cierpiącym z powodu przerażających snów czy delirium, chciałem biedaka obudzić. W ostatniej jednak chwili cofnąłem rękę, przestraszony na myśl o tym, czego się omal nie dopuściłem. Uświadomiłem sobie bowiem boleśnie, że żaden sen, nawet najbardziej koszmarny, nie może być gorszy od otaczającej nas obozowej rzeczywistości, do której nieopatrznie zamierzałem biedaka przywrócić.

Ze względu na poważny stopień niedożywienia, na jakie

cierpieli więźniowie, było czymś naturalnym, że głód stawał się podstawowym prymitywnym instynktem, wokół którego koncentrowało się nasze życie psychiczne. Wystarczyło popatrzeć, co działo się z większością więźniów, gdy pracowali blisko siebie w grupie i wyjątkowo nikt ich akurat nie pilnował – natychmiast zaczynali rozmawiać o jedzeniu. Jeden więzień pytał drugiego, pracującego obok niego w rowie, o jego ulubione potrawy. Następnie obaj wymieniali się przepisami i planowali menu na dzień, gdy kiedyś się spotkają – w odległej przyszłości, gdy już zostaną oswobodzeni i powrócą do swoich domów. Mogli tak roić w nieskończoność, wyobrażając sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach, dopóki wzdłuż szeregu kopiących rów nie przebiegło szeptem ostrzeżenie, zazwyczaj pod postacią umówionego hasła czy cyfry: „Strażnik nadchodzi!”.

Zawsze uważałem owe rozmowy o jedzeniu za niebezpieczne. Czyż nie jest czymś groźnym prowokowanie organizmu barwnymi, szczegółowymi opisami smakołyków w sytuacji, gdy zdołał się on już jakimś cudem przyzwyczaić do skrajnie ograniczonych i niskokalorycznych racji żywnościowych? Poza chwilową psychiczną ulgą, jaką dawało więźniom tego rodzaju fantazjowanie, niosły one ze sobą również poważne fizyczne zagrożenia, których nie sposób ignorować.

W późniejszym okresie naszego pobytu w obozieienne racje żywnościowe składały się z wydawanej raz dziennie miski niewiarygodnie wodnistej zupy oraz z bardzo zazwyczaj skąpej porcji chleba. Dodatkowo funkcjonowało coś takiego, jak „dodatek żywnościowy”, który jednego dnia oznaczał około dwudziestu gramów margaryny, innego plasterek podłej jakości kielbasy, kawałek sera, odrobinę sztucznego miodu lub łyżkę wodnistej marmolady. W przeliczeniu na kalorie były to racje w żadnym stopniu niewystarczające – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wykonywaną przez nas ciężką pracę fizyczną oraz stałe przebywanie na zimnie w nieodpowiedniej odzieży. Chorzy podlegający „specjalnej opiece” – to znaczy ci, którzy zamiast pracować poza obozem, mogli pozostać w barakach – byli

w jeszcze gorszej sytuacji.

Wraz ze zniknięciem ostatnich pokładów podskórnej tkanki tłuszczowej zaczęliśmy przypominać wyglądem żywe szkielety odziane w łachmany; byliśmy wówczas świadkami tego, jak nasze ciała próbują same siebie pożerać. Organizm zaczynał żywić się własnym białkiem, co oznaczało zanik mięśni, a stopniowa utrata zapasów białka wiązała się ze spadkiem sił i odporności. Jeden po drugim członkowie naszej małej barakowej społeczności umierali. Każdy z więźniów potrafił z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, kto będzie następny w kolejce i kiedy jego samego czeka koniec. Dzięki miesiącom podobnych doświadczeń poznaliśmy dobrze alarmujące symptomy, co znacznie ułatwiało postawienie niemal bezbłędnej diagnozy. „Ten już długo nie pociągnie” albo „ten będzie następny” – szeptaliśmy do siebie, a gdy wieczorami, podczas codziennego rytuału polowania na wszy, oglądaliśmy swoje nagie ciała, wszystkim nam przychodziła do głowy ta sama myśl: „To ciało – moje ciało – i tak jest już martwe. Co ze mnie pozostało? Jestem już tylko kawałkiem ogromnej masy ludzkiego mięsa... masy więzionej za kolczastym drutem, stłoczonej w kilku ciasnych barakach; masy, której każdego dnia nowa część zaczyna gnić, bo uciekło z niej wszelkie życie”.

Wspomniałem wcześniej, że w tej sytuacji niemożliwością było opędzić się od myśli o jedzeniu; wizje ulubionych dań pchały się nam przed oczy przy pierwszej nadarzającej się okazji. Łatwiej zatem zrozumieć, że nawet najsilniejsi marzyli o chwili, gdy znowu zakosztują lepszych pokarmów, i to nie tylko dlatego, że pragnęli zaspokoić głód – przede wszystkim chodziło im o świadomość, że nieludzka egzystencja, w której człowiek nie jest w stanie myśleć o niczym innym, poza jedzeniem, dobiegła wreszcie końca.

Ci, którzy nie przeżyli czegoś podobnego, nie są w stanie pojąć, jakiego rodzaju wyniszczających duszę, wewnętrznych konfliktów i prób silnej woli doświadcza człowiek dosłownie umierający z głodu. Trudno im zrozumieć, co to znaczy kopać

rów, z utęsknieniem nasłuchując wycia syreny ogłaszającej – o wpół do dziesiątej lub dziesiątej rano – półgodzinną przerwę, podczas której wydawano więźniom racje chleba (o ile takowy był akurat dostępny); jak to jest nieustannie wypytywać kapo o godzinę – o ile ten był akurat życzliwie nastawiony; wreszcie jakie to uczucie czule dotykać kromki chleba ukrytej bezpiecznie w kieszeni pasiaka – najpierw lekko gładzić skórę zgrabiałymi od mrozu palcami, potem odłamać kawałek i włożyć sobie do ust, a następnie, z najwyższym wysiłkiem woli, ponownie schować chleb do kieszeni, zgodnie ze złożonym sobie rankiem przyrzeczeniem nakazującym znosić dzielnie głód aż do popołudnia.

Potrafiliśmy bez końca dyskutować na temat zasadności – lub jej braku – różnych metod postępowania z niewielkimi racjami chleba, który pod koniec niewoli wydawany był tylko raz dziennie. Istniały w tym względzie dwie szkoły. Jedna opowiadała się za natychmiastowym zjedzeniem dziennego przydziału. Takie rozwiązanie miało dwie zalety: po pierwsze, można było przynajmniej raz dziennie na krótką metę zaspokoić najbardziej doskwierający głód; po drugie, człowiek zabezpieczał się w ten sposób przed ewentualną kradzieżą lub utratą chleba. Druga szkoła, praktykująca podział dziennej racji na mniejsze porcje, wysuwała inne argumenty. Ja sam ostatecznie również trafiłem w szeregi jej zwolenników.

Najgorszą chwilą dnia był dla więźniów moment przebudzenia, gdy tuż przed świtem trzy przeszywające gwizdki bezlitośnie wyrywały nas z nieprzynoszącego wytchnienia snu i naszych marzeń sennych. W mroku walczyliśmy z przemokniętym obuwiem, w które z trudem udawało się wcisnąć obolałe i spuchnięte stopy. Tradycyjnie w baraku rozlegały się pojękiwania i narzekania dotyczące drobnych, acz irytujących problemów, na przykład pęknięcia drutów, które zastępowały nam sznurowadła. Pewnego ranka usłyszałem płacz człowieka, o którym wiedziałem, że był odważny i pełen godności. Człowiek ten płakał jak dziecko, ponieważ okazało się, że oto nastał dzień, gdy musiał iść do pracy boso po śniegu;

jego buty tak się skurczyły, że nie był w stanie ich założyć. W tym potwornym momencie odnalazłem pociechę w małym kawałku chleba, który wyciągnąłem z kieszeni i z rozkoszą żułem, zapominając o całym świecie.

Poza tym, że niedożywienie było przyczyną szerzącej się wśród więźniów obsesji na punkcie jedzenia, odpowiadało ono też prawdopodobnie za generalne wytłumienie popędu seksualnego. Obok efektów szoku charakterystycznego dla początkowego etapu pobytu w obozie, niedożywienie wydaje się być jedynym logicznym wytłumaczeniem zjawiska, którego jako psycholog nie mogłem nie zaobserwować w stricte męskim obozie; a mianowicie tego, że w przeciwieństwie do innych zamkniętych męskich społeczności – takich, jak na przykład koszary – perwersje seksualne praktycznie tam nie występowały. Seks zdawał się nie odgrywać żadnej roli nawet w snach więźniów, choć z pewnością znajdowały w nich wyraz inne frustracje oraz wyższe, delikatniejsze uczucia.

W większości przypadków prymitywne warunki życia oraz wysiłek związany z koniecznością nieustannego koncentrowania się na ratowaniu własnego życia wymuszały na więźniach lekceważący stosunek do wszystkiego, co nie prowadziło bezpośrednio do jednego celu, jakim było przetrwanie; tłumaczyły również porzucenie przez nich wszelkich sentymentów. Zrozumiałem to w drodze z Auschwitz do obozu należącego do kompleksu obozowego Dachau. Pociąg, którym nas przewożono – około dwóch tysięcy więźniów – przejeżdżał przez Wiedeń. Około północy minęliśmy jedną z wiedeńskich stacji kolejowych. Tory biegły dalej w pobliżu ulicy, przy której przyszedłem na świat, obok domu, w którym spędziłem wiele lat swego życia i gdzie mieszkałem właściwie aż do momentu mego uwięzienia.

Pięćdziesięciu mężczyzn upchnięto w wagonie, który miał tylko dwa małe, zakratowane otwory przypominające więzienne judasze. Miejsca było akurat tyle, żeby jedna grupa mogła przykucnąć na podłodze, podczas gdy druga, która

zmuszona była stać przez wiele godzin, tłoczyła się wokół okienek. Stając na palcach i wyglądając przez zakrywany otwór ponad głowami innych, zdołałem dostrzec fragment mojego rodzinnego miasta. Zrobiło na mnie upiorne wrażenie. Wszyscy czuliśmy się wówczas bardziej martwi niż żywi, byliśmy bowiem przekonani, że transport nasz zmierza do Maut-hausen i że pozostało nam nie więcej niż tydzień, góra dwa tygodnie życia. Miałem poczucie, że oglądam znane mi z dzieciństwa ulice, place i domy oczyma zmarłego, który powrócił z zaświatów i z góry obserwuje wymarłe miasto.

Po kilkugodzinnym postoju pociąg opuścił w końcu stację. I wtedy zobaczyłem ulicę – moją ulicę! Młodzi chłopcy, mający za sobą kilka lat obozowego życia, dla których tak długa podróż była wielkim wydarzeniem, z uwagą obserwowali świat przez otwory w ścianach. Zacząłem ich wówczas prosić, błagać, aby pozwolili mi choć na chwilę wyjrzeć na zewnątrz. Próbowałem tłumaczyć, ile w tym momencie znaczy dla mnie choćby jeden rzut oka na rodzinne strony. Moje błagania spotkały się jednak z brutalnym cynizmem: „Mieszkałeś tu przez te wszystkie lata? W takim razie zdążyłeś się już naoglądać!”.

W obozie panowała także powszechna „kulturalna hibernacja”. Z dwoma wyjątkami: jednym była polityka, a drugim religia. O polityce dyskutowano niemal bez przerwy w każdym zakątku obozu; rozmowy te prowadzone były głównie na podstawie rozmaitych pogłosek, które skwapliwie podchwytywano i puszczano dalej w obieg. Te dotyczące sytuacji na froncie były zwykle sprzeczne. Pojawiały się błyskawicznie jedna po drugiej i udawało im się jedynie zaogniać wojnę nerwów toczącą się w umysłach wszystkich więźniów. Wielokrotnie nadzieja na rychłe zakończenie wojny, wzniecona przez nazbyt optymistyczne plotki, gasła równie szybko, jak się pojawiała. Niektórzy tracili ją zupełnie, lecz to niepoprawni optymiści byli najbardziej irytującymi towarzyszami niedoli.

Religijne dążenia więźniów, z chwilą gdy się rodziły i gdy się

później rozwijały, były tak szczere, jak tylko można sobie wyobrazić. Głęboka i żywa wiara często zaskakiwała i wzruszała nowo przybyłych. Największe wrażenie robiły w tym względzie improwizowane modlitwy czy nabożeństwa organizowane w kącie baraku albo w mroku zamkniętego na głucho bydłęcego wagonu, w którym przewożono nas do obozu z odległych miejsc pracy, zmęczonych, głodnych i trzęsących się z zimna w naszych łachmanach.

Zimą i wiosną 1945 roku w obozie miała miejsce epidemia tyfusu, którym zarazili się niemal wszyscy więźniowie. Śmiertelność była szczególnie wysoka wśród tych, którzy, już osłabieni, usiłowali tak długo, jak to możliwe, sprostać ciężkiej fizycznej pracy. Pomieszczenia, w których przebywali chorzy, były wysoce nieodpowiednie, brakowało też leków i pielęgniarzy. Niektóre symptomy choroby były wyjątkowo nieznosne: nieopanowana awersja do najmniejszego choćby kęsa jedzenia (co samo w sobie stanowiło dodatkowe zagrożenie życia) i koszmarne ataki majaczenia. Jednym z najgorszych przypadków była maligna mojego przyjaciela, któremu zdawało się, że umiera i próbował się modlić; w gorączce brakowało mu jednak słów. Aby uniknąć ataków delirium, podobnie jak wielu innych próbowałem przez większość nocy bronić się przed snem. Całymi godzinami układałem w myślach przemówienia, a w końcu zacząłem odtwarzać w myślach rękopis, który utraciłem podczas dezynfekcji w Auschwitz i zapisywałem sobie kluczowe słowa w stenograficznym skrócie na maleńkich skrawkach papieru.

Od czasu do czasu w obozie wybuchały też dyskusje naukowe. Pewnego razu byłem świadkiem czegoś, czego nigdy przedtem, nawet w normalnym życiu, nie doświadczyłem – chociaż w pewnym sensie znajdowało się to w obrębie moich zawodowych zainteresowań – a mianowicie seansu spirytystycznego. Do uczestnictwa w nim zaprosił mnie naczelný lekarz obozu (również więzień), który wiedział, że specjalizowałem się w psychiatrii. Spotkanie odbyło się w jego niewielkim prywatnym gabinecie na tak zwanym rewirze.

Zebrało się tam wąskie grono osób, wśród których znalazł się także – całkiem już nielegalnie – oficer z oddziału do spraw sanitarnych i higieny obozowej.

Jeden z mężczyzn zaczął przyzywać duchy, odmawiając coś w rodzaju modlitwy. Jeden z obozowych urzędników miał przed sobą rozłożoną czystą kartkę papieru, a w rękę trzymał ołówek, którym świadomie nie zamierzał pisać. W ciągu kolejnych dziesięciu minut (po których seans dobiegł końca, ponieważ medium nie udało się zaklęciami skłonić żadnego ducha, aby nam się ukazał) ołówek drgnął i powoli zaczął kreślić na papierze litery, które następnie dało się odczytać jako: „vae v”. Zapewniono nas, że urzędnik ów nigdy nie uczył się łaciny i nigdy przedtem nie słyszał słów „vae victis” – biada zwyciężonym. Moim zdaniem musiał słyszeć je przynajmniej raz w życiu i podświadomie je zapamiętał, przez co tamtego dnia stały się one znane „duchowi” (duchowi jego podświadomości), na kilka miesięcy przed naszym wyzwoleniem i końcem wojny.

Pomimo niezwykle prymitywnych – zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym – warunków, w jakich zmuszeni byliśmy żyć, w obozie koncentracyjnym możliwe było pogłębianie życia duchowego. Ludzie wrażliwi, przywykli prowadzić bogate życie intelektualne, mogli w dwójnasób odczuwać fizyczny ból (byli bowiem często słabsi i delikatniejsi), lecz ich wewnętrzne „ja” ucierpiało w znacznie mniejszym stopniu. Potrafili bowiem uciec od otaczającej ich potwornej rzeczywistości w bogactwo wewnętrznych wartości i duchową wolność. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć pozorny paradoks dotyczący tego, że część więźniów o słabszej konstytucji lepiej zdawała się znosić trudy obozowego życia od tych fizycznie silniejszych. Aby było to całkowicie jasne, muszę oprzeć się w tym miejscu na przykładzie zaczerpniętym z moich osobistych doświadczeń. Opowiem zatem, co mi się kiedyś przydarzyło wczesnym świtem w drodze na miejsce pracy.

Jak zwykle słychać było głośno wykrzykiwane rozkazy: „Komando – naprzód, marsz! Lewa, dwa, trzy, cztery! Lewa,

dwa, trzy, cztery! Lewa, dwa, trzy, cztery! Lewa, dwa, trzy, cztery! Szpica prowadzi, lewa, lewa, lewa, lewa! Czapki z głów!”. Do dziś rozbrzmiewają w moich uszach te słowa. Rozkaz: „Czapki z głów!” rozlegał się zawsze w momencie, gdy mijaliśmy bramę obozu i padały na nas światła reflektorów. Każdy, kto nierówno maszerował, dostawał kopniaka. A najgorszy los czekał tych, którzy z powodu przejmującego zimna naciągali czapki na uszy, zanim jeszcze padł odpowiedni rozkaz.

W ciemnościach potykaliśmy się o wielkie kamienie i z trudem pokonywaliśmy rozległe kałuże na jedynej drodze wiodącej z obozu. Eskortujący nas strażnicy cały czas pokrzykiwali i popędzali nas kolbami swoich karabinów. Ci, którzy mieli szczególnie obolałe stopy, wspierali się na ramionach swoich towarzyszy. Z rzadka tylko padało jakieś słowo; lodowaty wiatr nie zachęcał do prowadzenia rozmów. W pewnym momencie mój najbliższy sąsiad wyszeptał, kryjąc twarz za postawionym kołnierzem: „Gdyby nasze żony mogły nas teraz zobaczyć! Mam nadzieję, że spotkał je lepszy los w innym obozie i nie wiedzą, jak jesteśmy traktowani”.

Jego słowa sprawiły, że pomyślałem o swojej żonie. I gdy tak pokonywaliśmy kolejne kilometry – potykając się, ślizgając po zmarzniętej ziemi, podtrzymując się nawzajem i ciągnąc jeden drugiego naprzód – nic więcej nie zostało powiedziane, lecz obaj wiedzieliśmy, że ten drugi rozmyśla o swojej żonie. Co pewien czas zerkąłem w niebo, gdzie wolno gasły gwiazdy, a różowe światło poranka rozlewało się coraz szerzej za wałem ciemnych, spiętrzonych chmur. Przed oczyma jednak wciąż widziałem twarz swojej żony, której obraz był w mojej wyobraźni boleśnie wyraźny. Słyszałem, jak mi odpowiada, widziałem jej uśmiech, jej szczere, dodające otuchy spojrzenie. Wyimaginowane czy nie, w moich oczach to jej spojrzenie miało wówczas w sobie więcej blasku niż promienie właśnie wschodzącego słońca.

Nagle poraziła mnie pewna myśl: po raz pierwszy w życiu objawiła mi się prawda po tylekroć wplatana w pieśni przez poetów i ogłaszana najwyższą mądrością przez filozofów, a mianowicie, że miłość jest najwyższym i najszlachetniejszym

celem, do jakiego może dążyć człowiek. Pojąłem wówczas sens największej tajemnicy, której rąbka uchylają przed nami dzieła największych poetów, myślicieli i duchownych: droga do zbawienia człowieka wiedzie poprzez miłość i sama jest miłością. Zrozumiałem, że nawet ktoś, komu wszystko na tym świecie odebrano, wciąż może zaznać prawdziwego szczęścia, choćby nawet przez krótką chwilę, za sprawą kontemplacji tego, co najbardziej ukochał. W sytuacji całkowitej samotności, gdy nie sposób wyrazić samego siebie poprzez pozytywne działanie, gdy jedynym i największym osiągnięciem jest godne i szlachetne znoszenie własnego cierpienia, nawet w takiej sytuacji można doświadczyć spełnienia, kontemplując z uczuciem noszony w sercu obraz najdroższej nam osoby. Po raz pierwszy w życiu byłem w stanie w pełni pojąć znaczenie zdania: „Aniołowie zatracają się w nieustannej kontemplacji nieskończonej chwały”.

Nagle idący przede mną człowiek potknął się, a ci, którzy za nim podążali, automatycznie na niego wpadli. Natychmiast zjawił się strażnik i na nieszczęśników posypały się uderzenia bata. Wydarzenie to wyrwało mnie na kilka minut z moich marzeń na jawie. Wkrótce jednak moja dusza odnalazła drogę powrotną do innego świata, zostawiając za sobą tragiczną egzystencję więźnia, ja zaś podjąłem przerwana rozmowę z moją ukochaną. Zadawałem pytania, na które odpowiadała; potem zaś ona pytała, a ja odpowiadałem.

„Stać!”. Głośny ten okrzyk oznaczał, że przybyliśmy na miejsce. Zaraz też wszyscy rzuciliśmy się do ciemnego baraku w nadziei zdobycia jakiegoś przyzwoitego narzędzia. Każdy więzień dostawał do dyspozycji szpadel lub kilof.

„Nie możecie szybciej, świnie?”. Wkrótce potem zajęliśmy swoje wczorajsze miejsca w rowie. Zmrożona ziemia zgrzytała pod kilofami, aż leciały iskry. Mężczyźni milczeli, pracując w otępieniu.

Tymczasem moje myśli krążyły wokół obrazu żony, który wciąż miałem przed oczyma. W pewnej chwili przyszło mi coś do głowy: przecież nawet nie wiedziałem, czy ona nadal żyje.

Wiedziałem jednak coś innego – coś, w co do tej pory głęboko wierzę: miłość nie ogranicza się do fizycznej powłoki ukochanej osoby. Prawdziwą głębię odnajduje się, dopiero wnikając w jej duchowe jestestwo, jej wewnętrzne „ja”. Wówczas to, czy osoba ta jest przy nas obecna, czy nie, czy żyje, czy jest martwa, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Nie wiedziałem, czy moja żona żyje, i nie miałem szans tego sprawdzić (podczas całego okresu mojej niewoli nie było możliwości odbierania ani nadawania listów), lecz w tamtej chwili nie było to dla mnie istotne. Nie musiałem tego wiedzieć; nic nie mogło osłabić siły mojej miłości, zakłócić moich myśli ani zatrzeć w pamięci obrazu mojej ukochanej. Wydaje mi się, że nawet gdybym wówczas wiedział, iż moja żona zginęła, to i tak – niewzruszony tą wiadomością – oddawałbym się kontemplowaniu jej wizerunku, a moja duchowa rozmowa z nią byłaby równie żywa i satysfakcjonująca. „Połóż mnie jak pieczęć na twoim sercu (...) bo jak śmierć potężna jest miłość”.

Głębokie zanurzenie się we własnym wnętrzu pomagało więźniowi znaleźć schronienie przed pustką, opuszczeniem i duchową nędzą własnej egzystencji, umożliwiając mu ucieczkę w przeszłość. Puszczaliśmy wodze wyobraźni, która podsuwała nam wcale nie te najważniejsze wydarzenia, lecz bawiła się drobiazgami, często całkiem banalnymi. Nasza nostalgia gloryfikowała je, nadając im nadzwyczajny charakter. Świat, do którego należały, życie, jakie w nim wiedliśmy – wszystko to wydawało nam się niezmiernie odległe, a nasz duch z tęsknotą się ku temu wyrwał. Pamiętam, jak raz za razem odbywałem wyimaginowane przejażdżki autobusem, przekręcałem klucz w drzwiach swojego mieszkania, podnosiłem słuchawkę telefonu, włączałem czy wyłączałem światło. Nasze myśli często skupiały się na najdrobniejszych szczegółach, których wspomnienie wyciskało nam łzy z oczu.

W miarę nasilania się wewnętrznych przeżyć więźnia jak nigdy wcześniej przeżywał on również piękno sztuki i natury. Za ich sprawą zdarzało mu się czasem zapominać o otaczającej

go koszmarnej rzeczywistości. Gdyby ktoś mógł zobaczyć wyraz naszych twarzy, gdy w drodze z Auschwitz do bawarskiego obozu przez maleńkie, zakratowane okienka naszego wagonu ujrzelśmy górujące nad Salzburgiem górskie szczyty połyskujące w zachodzącym słońcu, nigdy nie uwierzyłby, że patrzy na twarze ludzi, którzy na dobre wyrzekli się nadziei na wolność i ocalenie. Pomimo tej strasznej prawdy – a może właśnie z jej powodu – daliśmy się wówczas porwać oszałamiającemu pięknu przyrody, za którą tak długo tęskniliśmy.

Również w obozie zdarzało się, że ktoś zwracał uwagę pracującego obok sąsiada na piękny widok, jaki tworzyły promienie zachodzącego słońca przeświecające przez wysokie pnie drzew bawarskich lasów (zupełnie jak na akwareli Dürera) – tych samych, w których z mozołem budowaliśmy olbrzymią, tajną fabrykę amunicji. Pewnego wieczoru, gdy śmiertelnie zmęczeni odpoczywaliśmy na podłodze naszego baraku, posilając się miską zupy, jeden z więźniów wpadł do środka i zawołał, żebyśmy zaraz biegli na plac apelowy zobaczyć wspaniały zachód słońca. Na zewnątrz oczom naszym ukazały się złowieszcze chmury na horyzoncie, podświetlone jaskrawymi promieniami; całe niebo ożyło, chmury nieustannie zmieniały swe kształty, mieniając się kolorami, od metalicznego błękitu po krwistą czerwień. W owej chwili opuszczone szare baraki stanowiły szczególnie przejmujący kontrast dla tego spektaklu barw, bo nawet w błotnistych kałużach odbijało się rozświetlone niebo. Po kilku minutach pełnego wzruszenia milczenia jeden z więźniów powiedział do drugiego: „Jaki piękny może być świat!”.

Kiedy indziej pracowaliśmy przy kopaniu rowów. Zewsząd otaczał nas szary świt; szare było niebo nad nami i szary był śnieg w szarym świetle poranka; szare były łachmany, które ja i moi towarzysze mieliśmy na sobie; szare były nasze twarze. Tego dnia jak zwykle toczyłem w myślach rozmowę ze swoją żoną – a może usiłowałem dopatrzeć się przyczyny swoich cierpień, swojego powolnego umierania. W pewnym momencie

poczułem, jak w wyrazie ostatniego gwałtownego sprzeciwu wobec ogólnej beznadziei i nieuchronności śmierci mój duch przebija się przez spowijający nas mrok. Miałem wrażenie, że wznoszę się ponad tę pozbawioną nadziei, bezsensowną rzeczywistość i usłyszałem dobiegające skądś zwycięskie „tak”, będące odpowiedzią na moje pytanie o ostateczny sens ludzkiej egzystencji. W tej samej chwili rozbłysło światło w oknie oddalonego gospodarstwa, którego ciemna sylwetka majaczyła na horyzoncie jak namalowana w samym sercu szarego bawarskiego świtu. „Et lux in tenebris lucet” – a światłość w ciemności świeci. Przez wiele godzin stałem tam, usiłując skruszyć zlodowaciałą ziemię. Raz czy dwa minął mnie strażnik, rzucając w moją stronę jakąś obelgę, ja zaś po raz kolejny nawiązałem duchowy kontakt z moją ukochaną żoną. Z każdą minutą coraz bardziej namacalnie czułem przy sobie jej obecność; wydawało mi się, że jestem niemal w stanie jej dotknąć – że wystarczy wyciągnąć rękę, aby pochwycić jej dłoń. Wrażenie to było niezwykle silne: ona rzeczywiście tam była. Nagle z gałęzi sfrunął cicho ptak, przysiadł przede mną na stercie wykopanej z rowu ziemi i spokojnie mi się przyglądał.

Wspomniałem wcześniej o sztuce. Czy sztuka może w ogóle zaistnieć w obozie koncentracyjnym? Zależy to oczywiście od tego, co nazwiemy sztuką. Od czasu do czasu odbywały się w obozie improwizowane występy kabaretu. Na ten czas opróżniano jeden z baraków, zsuwano razem – lub zbijano gwoździami – drewniane ławy i układano program przedstawienia. Wieczorem ci, którzy zajmowali stosunkowo dobrą pozycję w hierarchii obozowej – kapo oraz więźniowie, którzy nie musieli opuszczać obozu i maszerować do odległych miejsc pracy – gromadzili się w baraku. Przychodzili tam, aby się trochę pośmiać albo uronić łzę – tak czy inaczej, żeby zapomnieć. Na program kabaretowy składały się piosenki, wiersze, dowcipy oraz teksty satyryczne skrycie nawiązujące do życia obozowego. Wszystko to miało jeden cel – pomóc nam zapomnieć – i z reguły spełniało swoje zadanie. Występy

kabaretu były pod tym względem na tyle skuteczne, że do baraku zaglądali nawet zwykli więźniowie (pomimo śmiertelnego zmęczenia i chociaż oznaczało to dla nich utratę dziennej racji żywności).

Podczas półgodzinnej przerwy na obiad, gdy pracującym poza obozem więźniom wydawano po misce zupy (za którą wynajmujący siłę roboczą płacili, lecz której przygotowanie wiele nie kosztowało), wolno nam było odpocząć w nieukończonych maszynowni. Przy wejściu każdy z nas otrzymywał chochlę wodnistej zawiesiny i podczas gdy reszta chciwie się posilała, jeden z więźniów wdrapywał się na kocioł i śpiewał nam włoskie arie operowe. Jako że występy te cieszyły się popularnością, śpiewak miał zapewnioną dokładkę zupy z „samego dna” – to znaczy z dodatkiem grochu!

W obozie nagrody otrzymywało się nie tylko za działalność rozrywkową, lecz także za aplauz. Ja na przykład miałem możliwość zaskarbić sobie życzliwość (jakie to szczęście, że nigdy nie musiałem z niej korzystać!) budzącego największy postrach kapo, który nie bez powodu nosił przydomek „zabójca”. A oto, jak do tego doszło. Pewnego wieczoru dostałem wielkiego zaszczytu bycia ponownie zaproszonym do odwiedzenia gabinetu, w którym wcześniej organizowany był seans spirytystyczny. Na miejscu zastałem ten sam zaufany krąg znajomych naczelnego lekarza; znalazł się tam też – jak zwykle nielegalnie – ów oficer z oddziału do spraw sanitarnych. Przypadkiem trafił tam również „zabójca”. Natychmiast poproszono go o wyrecytowanie jednego z wierszy, które zdążyły już zyskać (złą) sławę wśród mieszkańców obozu. Kapo nie dał się dwa razy prosić i szybko wyciągnął z kieszeni coś w rodzaju pamiętnika, z którego następnie zaczął odczytywać fragmenty swych poezji. Zagryzałem wargi do krwi, żeby nie wybuchnąć śmiechem – szczególnie przy jednym z liryków miłosnych – i to prawdopodobnie uratowało mi życie. Ponieważ na koniec klaskałem równie głośno jak inni, mogłem być pewien, że nawet gdyby przeniesiono mnie w przyszłości do jego komanda (trafiłem do niego zresztą wcześniej na jeden dzień i ten dzień

zdecydowanie mi wystarczył), nic złego mnie nie spotka. Tak czy inaczej, dobrze było przypochlebić się jakoś „zabójcy”. Oklaskiwałem go więc ze wszystkich sił.

Zasadniczo wszelkie artystyczne ambicje przybierały w obozie nieco groteskowe formy. Powiedziałbym, że jeśli chodzi o jakiegokolwiek pokrewne sztuce działania, ich efekt polegał w dużej mierze na uderzającym kontraście między tym, co można było nazwać sztuką, a beznadzieją obozowego życia. Nigdy nie zapomnę, jak drugiego dnia mego pobytu w Auschwitz, skatowanego po ciężkiej pracy, wyrwała mnie z głębokiego snu... muzyka. Nasz blokowy świętował coś w swojej komórce przylegającej do wejścia do baraku. Podchmielone głosy wywrzaskiwały popularne szlagiery. W pewnym momencie zapadła cisza i nieoczekiwanie popłynęła w noc melodia skrzypiec wygrywających jakieś rozpaczliwie smutne tango – melodia świeża i nieskażona zbyt częstymi wykonaniami. Skrzypce łkały i coś we mnie łkało także, ponieważ akurat tego samego dnia ktoś bardzo mi bliski obchodził swoje dwudzieste czwarte urodziny. Ten ktoś również leżał na pryczy w innej części Auschwitz, być może zaledwie kilkaset metrów albo kilometr ode mnie, lecz był równie odległy, jak księżyc. Tym kimś była moja żona.

Dla osoby z zewnątrz odkrycie, że w obozie rozwijało się coś na kształt sztuki, może być sporym zaskoczeniem; jeszcze bardziej zaskakująca może być jednak informacja, że wśród więźniów dało się zaobserwować przejawy poczucia humoru, choć oczywiście były one jedynie bladym odbiciem prawdziwej wesołości i rzadko trwały dłużej niż kilka sekund czy minut. Humor stanowił jednak jeszcze jedną broń znękaney duszy w jej walce o ocalenie i był wyrazem instynktu samozachowawczego. Powszechnie wiadomo, że poczucie humoru, jak żadna inna cecha charakteru, pozwala człowiekowi zachować dystans i daje mu umiejętność wznoszenia się – choćby na krótką chwilę – ponad praktycznie każde okoliczności. Pamiętam, jak szkolilem znajomego współwięźnia, który pracował obok mnie

na placu budowy, pomagając mu rozwinać jego poczucie humoru. Zaproponowałem, abyśmy umówili się, że każdy z nas wymyśli codziennie co najmniej jedną zabawną anegdotę dotyczącą jakiegoś wydarzenia, które mogłoby mieć miejsce nazajutrz po naszym wyzwoleniu z obozu. Mój towarzysz był chirurgiem, asystentem na oddziale jednego z dużych szpitali. Pewnego razu spróbowałem go więc rozśmieszyć opowieścią o tym, jak to po powrocie do pracy przekona się, iż nie jest w stanie porzucić przyzwyczajeń związanych z obozowym życiem. Przyjęło się mianowicie, że na placu budowy pilnujący więźniów kapo zagrzewał nas do szybszej pracy – szczególnie wtedy, gdy nadzorca akurat robił obchód – pokrzykując głośno: „Robić! Robić!”. Zwróciłem się więc do swego znajomego tymi słowami: – Wyobraź sobie, że pewnego dnia, gdy ponownie znajdziesz się na sali operacyjnej i będziesz wykonywał poważny zabieg chirurgiczny jamy brzucha, w pewnym momencie otworzą się drzwi sali i wpadnie sanitariusz, ogłaszając przybycie szefa chirurgii okrzykami: „Robić! Robić!”.

Również inni współwięźniowie wymyślali zabawne sytuacje z przyszłości, prorokując na przykład, że zdarzy im się zapomnieć podczas proszonego obiadu i na widok rozlewanej do talerzy zupy zaczną błagać gospodynię o porcję z „samego dna kotła”.

Próby rozwijania własnego poczucia humoru i stałe uczenie się, aby patrzeć na otaczający nas świat z pełnym dystansu rozbawieniem, to pewnego rodzaju sztuczka, jaką sobie przyswajamy, opanowując trudną sztukę życia. Co ciekawe, sztukę życia można udoskonalać nawet w obozie, w miejscu, gdzie zewsząd otacza nas cierpienie. Pokuszę się w tym miejscu o następującą analogię: z ludzkim cierpieniem jest jak z gazem. Jeśli wpuścić pewną jego ilość do zamkniętego pomieszczenia, gaz wypełni je w sposób równomierny i całkowity, bez względu na jego rozmiary. Podobnie cierpienie całkowicie „wypełnia” duszę i świadomość człowieka, bez względu na to, czy cierpimy ogromnie, czy tylko trochę. Dlatego też „rozmiar” ludzkiego

cierpienia jest pojęciem najzupełniej względnym.

Z tego też powodu najbardziej banalna rzecz może stać się przyczyną olbrzymiej radości. Przykładem tego może być pewne zdarzenie, które miało miejsce podczas naszej podróży z Auschwitz do jednego z podobozów Dachau. Początkowo wszyscy obawialiśmy się, że przewożą nas do Mauthausen. Nasz niepokój wzrastał w miarę, jak pociąg zbliżał się do pewnego mostu na Dunaju, przez który – jak wynikało z opowieści bardziej doświadczonych towarzyszy podróży – należało przejechać, kierując się do Mauthausen. Nikt, kto nie przeżył czegoś podobnego, nie jest w stanie wyobrazić sobie szalonego tańca radości, jaki wykonali więźniowie w naszym wagonie, widząc, że pociąg mija most, my zaś zmierzamy „tylko” do Dachau.

Podobna scena rozegrała się, gdy po trwającej dwa dni i trzy noce podróży dotarliśmy wreszcie na miejsce przeznaczenia. W bydlęcych wagonach, w jakich nas pozamykano, brakowało miejsca, aby wszyscy mogli jednocześnie usiąść na podłodze. Większość z nas musiała przez całą drogę stać, a tylko niektórzy zamieniali się z innymi współwięźniami, aby choć na chwilę przykucnąć na skąpej wyściółce ze słomy przesiąkniętej ludzkim moczem. Najważniejsza wiadomość, jaką zaraz po przybyciu na miejsce przekazali nam przebywający tam więźniowie, brzmiała: obóz jest stosunkowo nieduży (przebywało w nim wówczas dwa i pół tysiąca więźniów) i nie ma w nim „pieców”, krematorium ani komór gazowych! To zaś oznaczało, że więzień, który stawał się „muzułmaninem”, nie mógł być automatycznie wysłany do komory gazowej, lecz musiał czekać na specjalny transport, który zabierał chorych z powrotem do Auschwitz. Ta radosna nowina wprawiła nas wszystkich w doskonały nastrój. Spełniło się marzenie blokowego z naszego baraku w Auschwitz, aby jak najszybciej znaleźć się w obozie „bez komina”. Śmialiśmy się więc i żartowaliśmy, nie bacząc na to, co może się zdarzyć w ciągu najbliższych kilku godzin – a nawet w chwili owego rozbawienia.

Kiedy policzono nowo przybyłych, okazało się, że jednego brakuje. Cały transport musiał więc stać na deszczu i zimnym wietrze, czekając, aż „zguba” się odnajdzie. Znaleziono go wreszcie w jednym z baraków, gdzie wycieńczonego biedaka zmorzył sen. Zwykły apel zamieniono nam potem na karny. Przez całą noc, aż do późnych godzin porannych następnego dnia, musieliśmy stać na baczność pod gołym niebem, zmarznięci, przemoczeni do suchej nitki i wyczerpani po długiej podróży. A mimo to nikt nie krył rozradowania! Trafiliśmy do obozu „bez pieców”, a Auschwitz zostało daleko za nami.

Przy innej okazji zwróciliśmy uwagę na grupę skazańców, którzy mijali akurat nasze miejsce pracy. Jakże względny wydał nam się wtedy wymiar ludzkiego cierpienia! Jak zazdrościliśmy im stosunkowo uregulowanego, bezpiecznego i szczęśliwego życia! Ci ludzie z pewnością mieli szczoteczki do zębów, szczotki do ubrań, sienniki – każdy swój – a raz w miesiącu otrzymywali pocztę z wiadomościami o losie swoich najbliższych, a przynajmniej z informacją, czy nadal żyją. My zaś dawno utraciliśmy prawo do wszystkich tych luksusów.

Jak bardzo zazdrościliśmy też tym z nas, którzy zostali skierowani do fabryki i mogli pracować w osłoniętym pomieszczeniu! Każdy więzień marzył o takim wyróżnieniu, ponieważ mogło ono ocalić mu życie. Ale to jeszcze nie wszystko, jeśli chodzi o skalę względnego szczęścia. Nawet pomiędzy pracującymi poza obozem komandami (do jednego z których sam przynależałem) zdarzały się oddziały uważane za gorsze od innych. Obiektem zazdrości współwięźniów mógł być na przykład człowiek, który nie musiał brodzić w głębokim błocie po stromym nasypie gdzieś w szczerym polu, opróżniając kocioł w kolejowej maszynowni przez dwanaście godzin na dobę. To właśnie przy wykonywaniu tego rodzaju pracy zdarzało się codziennie najwięcej nieszczęśliwych wypadków, z których wiele kończyło się śmiercią.

Niektóre komanda miały tego pecha, że pilnujący ich kapo zdawali się podtrzymywać lokalną tradycję rozdawania ciosów pałką na prawo i lewo, co skłaniało nas do rozmów o naszym

jakże względnym szczęściu; dziękowaliśmy wówczas losowi, że im nie podlegamy lub że ich władza nad nami jest tylko tymczasowa. Kiedyś wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności trafiłem do takiego komanda. I gdyby nie alarm lotniczy, który przerwał nam pracę zaledwie po dwóch godzinach (w tym czasie kapo szczególnie się nade mną znęcał) i po którym konieczne było przegrupowanie więźniów – wróciłbym do obozu – jestem tego pewien – na jednym z wózków, którymi przewożono zmarłych i umierających z wyczerpania. Niewiarygodne, jaką ulgę w podobnej sytuacji można poczuć na dźwięk syreny przeciwlotniczej; nie da się tego porównać nawet z tym, co na dźwięk dzwonka kończącego rundę musi czuć zawodowy bokser, uratowany dosłownie w ostatniej chwili od groźby nokautu.

Każde, nawet najdrobniejsze szczęśliwe zrządzenie losu budziło w nas wdzięczność. Cieszyliśmy się, gdy nadchodziła pora odwszawiania przed udaniem się na spoczynek, chociaż sam w sobie zabieg ten nie stanowił żadnej przyjemności, jako że wiązał się z wystawaniem nago w wyziębionym baraku, z soplami lodu wiszącymi nad głową. Byliśmy jednak wdzięczni losowi za każdym razem, gdy w trakcie tej operacji nie przeszkodził nam alarm lotniczy ani nie wyłączono nam światła. Niestaranne oczyszczenie ciała z wszy oznaczało bowiem, że przez pół nocy nie zmrużymy oka.

Owe rzadkie uśmiechy losu pozwalały nam odczuwać coś na kształt „negatywu szczęścia” – „wolności od cierpienia”, jak ujął to Schopenhauer – a i ono bywało względne. Autentyczne przyjemności, nawet te najdrobniejsze, zdarzały się niezwykle rzadko. Pamiętam, że pewnego dnia sporządziłem coś w rodzaju bilansu przyjemności – tylko po to, aby przekonać się, że na przestrzeni wielu, wielu minionych tygodni doświadczyłem jedynie dwóch przyjemnych chwil. Jedna z nich miała miejsce, kiedy wróciwszy po całym dniu pracy, po długim oczekiwaniu zostałem wreszcie wpuszczony do obozowej kuchni i zająłem swoje miejsce w kolejce do kucharza F., również więźnia. Stał on za jednym z wielkich kotłów i rozlewał zupę do misek, które

podsuwali mu więźniowie przesuwający się w pośpiechu obok jego stanowiska. F. był jedynym kucharzem, który nie patrzył na twarze ludzi, których miski napełniał, jedynym, który rozdelał zupę sprawiedliwie, nie zważając na to, komu ją nalewa i który nie wyróżniał swoich znajomych ani rodaków, wybierając dla nich z dna ziemniaki, podczas gdy pozostali dostawali jedynie wodnistą zawiesinę z samego wierzchu.

Nie mnie jednak osądzać więźniów, którzy faworyzowali w ten sposób swoich krajan. Czyż można rzucić kamieniem w kogoś, kto ponad wszystko stawia swoich przyjaciół, zwłaszcza w sytuacji gdy – prędzej czy później – jeden przyjazny gest może zdecydować o życiu lub śmierci? Żaden człowiek nie powinien osądzać innych, jeśli sam całkowicie szczerze nie odpowie w głębi serca na pytanie, czy w podobnych okolicznościach nie postąpiłby tak samo.

Wiele lat po moim powrocie do normalnego życia (to znaczy wiele lat po wyzwoleniu z obozu) ktoś pokazał mi ilustrowany tygodnik z fotografiami przedstawiającymi stłoczonych na pryczach więźniów, którzy martwym wzrokiem wpatrywali się w obiektyw.

– Czyż to nie okropne? – powiedział. – Te przerażające twarze, te puste spojrzenia.

– Dlaczego? – zapytałem, autentycznie zaskoczony. Jednocześnie wszystko to raz jeszcze stało mi przed oczyma: o piątej rano na zewnątrz wciąż panowały egipskie ciemności. Leżałem na twardej pryczy w baraku, gdzie „zajmowano się” około siedemdziesięcioma z nas. Jako chorzy nie musieliśmy wychodzić do pracy poza obóz; nie musieliśmy też uczestniczyć w apelach. Przez cały dzień leżeliśmy w swoim kącie baraku, drzemiąc i czekając na codzienny przydział chleba (chorzy otrzymywali oczywiście pomniejszoną rację) i codzienną porcję zupy (rozcieńczoną wodą i również w mniejszej ilości). A jednak jacyż byliśmy wtedy szczęśliwi – szczęśliwi pomimo wszystko. Podczas gdy my tuliliśmy się do siebie, aby uniknąć niepotrzebnej utraty ciepła, podczas gdy byliśmy zbyt leniwi

i zobojętniali, aby bez potrzeby ruszyć choćby małym palcem, na placu apelowym rozlegały się przenikliwe gwizdki i głośne okrzyki – nocna zmiana właśnie powróciła z pracy i ustawiała się na apel. Następnie drzwi otwierały się szeroko, wpuszczając do środka śnieżną zadymkę. Jeden z naszych towarzyszy niedoli, całkowicie wyczerpany i przysypany śniegiem, wchodził chwiejnym krokiem do baraku, żeby przysiąść i choć przez kilka minut odpocząć; ale blokowy natychmiast wyrzucał go na zewnątrz. Wpuszczanie „obcych” do baraku było bowiem surowo zabronione, kiedy trwało liczenie więźniów. Jakże żał było mi wówczas tamtego człowieka i jak bardzo cieszyłem się, że nie jestem na jego miejscu, lecz dzięki chorobie mogę spokojnie drzemać „na rewirze”! Jakim wybawieniem była dla mnie możliwość spędzenia tam choćby dwóch dni, a może nawet kolejnych dwóch!

Na widok fotografii w tamtym czasopiśmie przypomniałem sobie to wszystko. Pomimo moich tłumaczeń słuchacze nie potrafili pojąć, dlaczego nie uważam tych zdjęć za przerażające; w moim jednak odczuciu przedstawieni na nich więźniowie nie musieli wcale czuć się nieszczęśliwi.

Czwartego dnia mojego pobytu „na rewirze” otrzymałem przydział do pracy na nocną zmianę. W ostatniej jednak chwili do sali wpadł naczelny lekarz i zaproponował, abym zgłosił się na ochotnika do opieki nad chorymi na tyfus w innym obozie. Chociaż moi znajomi zdecydowanie odradzali mi tę decyzję (i choć żaden z nich nie zaoferował podobnych usług), postanowiłem zgłosić swoją kandydaturę. Wiedziałem, że jeśli wrócę do pracy fizycznej, z pewnością wkrótce umrę. Skoro więc i tak czekała mnie śmierć, chciałem, aby wynikło z niej chociaż coś dobrego. Uznałem, że zdecydowanie rozsądniej będzie spróbować pomóc swoim współtowarzyszom jako doktor, niż dalej wegetować i w końcu stracić życie jako niezdolny do pracy robotnik, którym wówczas byłem.

Z mojej strony była to czysta matematyka, a nie żadne poświęcenie. Okazało się bowiem, że oficer z oddziału do spraw sanitarnych i higieny obozowej wydał w tajemnicy rozkaz, aby

obaj lekarze, którzy zgłosili się na ochotnika do pracy z chorymi na tyfus, byli „specjalnie traktowani” do czasu swojego wyjazdu z obozu. Ponieważ byliśmy niezwykle osłabieni, człowiek ten obawiał się, że zamiast lekarzy będzie miał dwa trupy.

Wspominałem już wcześniej, że wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z koniecznością utrzymania przy życiu siebie i swoich najbliższych, szybko traciło znaczenie. Wszystko poświęcane było dla osiągnięcia tego jednego celu. Dotyczyło to także psychiki człowieka; panujący w niej chaos zagrażał bowiem wszelkim wyznawanym wcześniej wartościom, podając je w wątpliwość. W świecie, w którym przestawały liczyć się ludzkie życie i godność, w którym człowiekowi odbierano jego wolną wolę i czyniono z niego obiekt eksterminacji (po uprzednim wykorzystaniu do cna jego fizycznych możliwości) – w tym świecie ludzkie ego wyrzekało się ostatecznie wszystkich wartości. Więzień obozu koncentracyjnego, jeśli nie walczył ostatkiem sił o zachowanie szacunku dla samego siebie, zatracił poczucie bycia jednostką, istotą rozumną, obdarzoną wewnętrzną wolnością i wartością. Zaczynał wówczas myśleć o sobie jak o części olbrzymiej ludzkiej masy, a jego egzystencja upodabniała się poziomem do poziomu życia zwierzęcia. Więźniów obozu zaganiano to w jedno, to w drugie miejsce; czasami pędzono ich gdzieś w grupie, czasami osobno – niczym stado owiec pozbawionych własnej woli i zdolności samodzielnego rozumowania. Niewielka grupa osobników, świetnie wyszkolonych w różnych metodach znęcania się sadystów, obserwowała ich bacznie ze wszystkich stron na podobieństwo wściekłych psów. Poganiali oni niezmordowanie swoje stado w tę i z powrotem przy wtórze wrzasków, kopniaków i ciosów pałką. My zaś jak owce myśleliśmy wtedy wyłącznie o dwóch rzeczach: jak uciec przed kłami psów i w jaki sposób zdobyć pożywienie.

Na podobieństwo owiec tłoczących się bojaźliwie jak najbliżej środka stada każdy z nas starał się znaleźć w samym środku formacji. Pozycja ta pozwalała skuteczniej unikać ciosów

strażników, maszerujących po obu bokach oraz na czele i na końcu kolumny. Środkowe miejsca miały jeszcze dodatkową zaletę – gwarantowały więźniowi ochronę przed przenikliwym wiatrem. Można zatem powiedzieć, że ratowaliśmy własne życie, usiłując dosłownie wtopić się w tłum. W formacjach marszowych zajmowanie miejsc w szeregu dokonywało się w sposób automatyczny, lecz przy innych okazjach było przejawem jak najbardziej świadomego działania; w ten sposób każdy z nas realizował jedną z podstawowych zasad dotyczących przetrwania w obozie, która brzmiała: „Nie rzucaj się w oczy”. A już za wszelką cenę należało unikać zwracania na siebie uwagi esesmanów.

Zdarzały się oczywiście sytuacje, gdy rzeczą pożądaną, albo wręcz konieczną, było trzymanie się z dala od tłumu. Powszechnie wiadomo, że w żyjących w przymusowym zamknięciu społecznościach, w których wszystkie działania poddane są nieustannej obserwacji, do głosu dochodzi nieposkromione pragnienie wyrwania się spod stałej kontroli, choćby na krótką chwilę. Więźniowie tęsknili więc do tych momentów, gdy wolno im było znaleźć się sam na sam ze swoimi myślami. Brakowało im prywatności i samotności. Po przeniesieniu mnie do tak zwanego obozu wypoczynkowego zyskałem rzadki przywilej, a mianowicie możliwość spędzenia od czasu do czasu pięciu minut w spokoju i samotności. Za barakiem, w którym pracowałem i gdzie stłoczono około pięćdziesięciu majaczących pacjentów, znalazłem ustronne miejsce w załomie podwójnego ogrodzenia z drutu kolczastego. Postawiono tam zaimprovizowany namiot z kilku palików i gałęzi, pod którym składowano jakieś pół tuzina ciał (taka była dzienna umieralność w obozie). Znajdował się tam także włącz do studni kanalizacyjnej. Gdy tylko moja obecność przy chorych nie była konieczna, przysiadłem na jego drewnianej pokrywie. Siedziałem i spoglądałem na łagodne zielone pagórki i błękitniejące w oddali wzgórza Bawarii – malowniczy widoczek w ramie z drutu kolczastego. Dawałem się wówczas ponosić tęsknocie i moje myśli płynęły w kierunku północno-

wschodnim, w stronę, gdzie znajdował się mój dom. Jedyne jednak, co byłem w stanie dostrzec, to chmury.

Zupełnie nie przeszkadzały mi piętrzące się obok mnie trupy, na których wciąż jeszcze roiły się wszy. Z rozmarzenia wyrzywały mnie tylko kroki nadchodzącej warty, ewentualnie wezwanie, aby stawić się na izbie chorych lub odebrać świeżo dostarczony przydział leków dla mieszkańców mojego baraku – składało się nań zwykle pięć czy dziesięć tabletek aspiryny, które przez kolejnych kilka dni miały wystarczyć prawie pięćdziesięciu chorym. Po pobraniu leków tradycyjnie odbywałem obchód; mierzyłem pacjentom puls, a w poważniejszych przypadkach wydawałem po pół tabletki aspiryny. Najciężej chorzy nie otrzymywali jednak żadnych leków. I tak by im już nie pomogły, a ci, dla których tliła się jeszcze nadzieja, zostaliby pozbawieni cennej dawki. Lekko chorym nie miałem nic do zaoferowania, może z wyjątkiem kilku słów otuchy. Powłócząc nogami ze zmęczenia, przesuwalem się z wysiłkiem od jednego pacjenta do drugiego, choć sam byłem wyczerpany i osłabiony po ciężkim ataku tyfusu. Po wszystkim zaś wracałem do mojej samotni przy drewnianej pokrywie wjazdu do studni kanalizacyjnej.

Tak się zresztą złożyło, że ów wjazd uratował kiedyś życie trzem moim towarzyszom. Na krótko przed wyzwoleniem obozu organizowane były masowe transporty do Dachau, a owi trzej więźniowie mądrze postanowili uniknąć wywózki i ukryli się przed strażnikami w studni kanalizacyjnej. Ja zaś spokojnie przysiadłem na pokrywie wjazdu i starając się nie wzbudzać niczyich podejrzeń, jak dziecko bawiłem się w rzucanie kamyczkami w ogrodzenie z drutu kolczastego. Na ten widok jeden ze strażników zawahał się, lecz po chwili minął mnie i poszedł dalej. Wkrótce też mogłem poinformować ukrywających się na dole mężczyzn, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło.

Osobie z zewnątrz niezwykle trudno jest pojąć to, jak niewielką wartość przedstawiało w obozie ludzkie życie. My,

więźniowie, byliśmy odpowiednio zahartowani, lecz nawet nas uderzało od czasu do czasu całkowite lekceważenie życia drugiego człowieka. Zdarzało się to na przykład podczas organizowania wywózki chorych. Wychudzone jak szkielety ciała pacjentów wrzucane były na dwukółkowe wózki, które następnie więźniowie własnymi siłami ciągnęli przez wiele kilometrów, często w śnieżycy, do innego obozu. Jeśli któryś z chorych umarł przed odjazdem, jego ciało i tak wrzucano na wózek – lista musiała się przecież zawsze zgadzać! Tylko ona się liczyła. Człowiek zaś liczył się o tyle, że posiadał obozowy numer. Więzień był dosłownie sprowadzony do roli numeru; to, czy żył, czy umierał, nie miało znaczenia – życie „numeru” nikogo tam nie interesowało. To zaś, co stało za tym numerem i życiem, liczyło się jeszcze mniej: los jednostki, jej przeszłość, imię i nazwisko. W jednym z transportów przewożących chorych, którym jako lekarz musiałem towarzyszyć w ich drodze z jednego bawarskiego obozu do innego, był pewien młody więzień, którego brat nie znalazł się na liście i z tego powodu nie mógł razem z nim jechać. Młody ów człowiek tak długo błagał obozowego strażnika, aż ten zgodził się na zamianę i brat więźnia mógł zająć miejsce człowieka, który akurat w tamtym momencie wolał pozostać w obozie. Lista musiała się jednak zgadzać! To już jednak nie nastroczało większych trudności. Brat chorego po prostu zamienił się numerami z tym drugim więźniem.

Jak już wcześniej wspominałem, żaden z nas nie posiadał dokumentów; człowiek cieszył się, mając do dyspozycji własne ciało, w którym mimo wszystko tliło się jeszcze życie. Cała reszta, to znaczy łańcuchy wiszące na naszych chudych jak szkielety postaciach, liczyła się tylko wtedy, gdy ich właściciel trafiał na listę chorych przeznaczonych do wywózki. Opuszczający obóz „muzułmanie” poddawani byli bezceremonialnym oględzinom mającym stwierdzić, czy ich pasiaki albo buty nie są przypadkiem lepsze niż nasze własne. Ich los był już jednak przypieczętowany. Ci zaś, którzy pozostawali w obozie i nadal byli w stanie choć trochę

pracować, musieli wykorzystywać każdą nadarzającą się okazję, żeby poprawić swoje szanse na przeżycie. Nikt tam nie bawił się w sentymenty. Uważaliśmy poza tym, że nasze życie zależy całkowicie od humoru strażników – byliśmy igraszką w rękach losu. To sprawiało, że w naszych oczach chorzy towarzysze stawali się jeszcze bardziej odczłowieczeni, niż i tak już byli z uwagi na okoliczności.

Jako więzień obozu w Auschwitz przyjąłem pewną zasadę, która okazała się niezwykle przydatna i której później przestrzegała również większość moich towarzyszy. Pytany o różne rzeczy generalnie starałem się odpowiadać zgodnie z prawdą, milczałem jednak w sprawach, o które mnie wprost nie pytano. Jeżeli pytanie dotyczyło mojego wieku, podawałem go zgodnie ze stanem faktycznym. Pytany o zawód, odpowiadałem: „lekarz”, nie rozwijałem jednak szerzej tego tematu. Pierwszego poranka w Auschwitz na placu apelowym stawiał się oficer SS. Zgodnie z jego rozkazem musieliśmy podzielić się na grupy: w jednej więźniowie powyżej czterdziestu lat, w drugiej – poniżej czterdziestu lat; w jednej ślusarze, w innej mechanicy, i tak dalej. Potem przebadano nas pod kątem przepukliny i część z nas musiała utworzyć jeszcze jedną grupę. Moja grupa została zapędzona do baraku, gdzie znowu kazano nam ustawić się w rzędach. Po kolejnej selekcji, podczas której musiałem odpowiedzieć na pytania o mój wiek i zawód, trafiłem do niedużej grupki więźniów. Następnie zapędzono nas do jeszcze innego baraku i tam po raz kolejny przegrupowano. Trwało to przez jakiś czas; bardzo się martwiłem, ponieważ w pewnym momencie otoczyli mnie całkiem obcy ludzie mówiący niezrozumiałymi dla mnie językami. Wreszcie odbyła się ostatnia selekcja, po której znalazłem się z powrotem w tej samej grupie, do której przydzielono mnie w pierwszym baraku! Moi towarzysze nawet nie zauważyli, że w tym czasie zwiedziłem ponad połowę obozu. Ja jednak wiedziałem, że mój los ważył się wielokrotnie podczas minionych minut.

Gdy organizowano transport chorych do „obozu wypoczynkowego”, moje nazwisko (a raczej numer) również znalazło się na liście, jako że generalnie brakowało lekarzy. Nikt z nas nie wierzył jednak, że celem naszej podróży rzeczywiście jest obóz dla rekonwalescentów. Kilka tygodni wcześniej zorganizowano podobny transport. Wtedy także wszyscy byli przekonani, że chorzy zmierzają wprost do komór gazowych. Kiedy ogłoszono, że nazwisko każdego, kto zgłosi się do pracy na ochotnika na znienawidzoną nocną zmianę, zostanie usunięte z listy przeznaczonych do wywózki, natychmiast zgłosiło się osiemdziesięciu dwóch ochotników. Kwadrans później transport odwołano, lecz nazwiska owych osiemdziesięciu dwóch więźniów pozostały na liście chętnych do pracy na nocną zmianę. Dla większości z nich oznaczało to śmierć w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Teraz zaś po raz drugi organizowano transport dla pozostałych więźniów. I znowu nikt z nas nie wiedział, czy jest to tylko podstęp, żeby pozyskać spośród chorych resztki siły roboczej – choćby tylko na najbliższe czternaście dni – ani czy transport trafi do gazu, czy może jednak do prawdziwego obozu dla rekonwalescentów. Naczelnny lekarz, który zdążył mnie już polubić, wyznał mi ukradkiem pewnego wieczoru za kwadrans dziesiąta:

– Przekazałem sanitariuszom, że twoje nazwisko może jeszcze zostać skreślone z listy; masz szansę to zrobić do godziny dziesiątej.

Odparłem, że nie byłoby to zgodne z moimi zasadami; nauczyłem się już zdawać na los.

– Równie dobrze mogę zostać tutaj, ze swoimi przyjaciółmi – powiedziałem.

W jego oczach błysnęło współczucie, tak jakby wiedział... W milczeniu uściśnął mi dłoń, jakbyśmy się żegnali nie na pewien czas tylko, ale na wieczność. Wolno wróciłem do swojego baraku. Zastąpiłem tam oczekującego mnie przyjaciela.

– Naprawdę chcesz z nimi jechać? – zapytał mnie ze smutkiem.

– Tak, pojedę.

Łzy napłynęły mu do oczu, a ja usiłowałem go pocieszać. Pozostała mi jednak jeszcze jedna sprawa do załatwienia – przekazać swoją ostatnią wolę.

– Posłuchaj, Otto. Gdybym nie wrócił do domu, do żony, a ty miałbyś okazję się z nią widzieć, powiedz jej, że codziennie, w każdej godzinie, z nią rozmawiałem. Pamiętaj. Po drugie, powiedz, że nikogo tak nie kochałem jak jej. A po trzecie, że ten krótki czas, przez jaki byliśmy małżeństwem, jest dla mnie najważniejszy, ważniejszy nawet niż to, przez co tutaj przechodzimy.

Drogi Otto, gdzie teraz jesteś? Czy żyjesz? Co się z tobą działo od czasu, gdy spędziliśmy razem tę ostatnią godzinę? Czy odnalazłeś swoją żonę? I czy pamiętasz, jak kazałem ci nauczyć się na pamięć mojego testamentu – słowo po słowie – chociaż płakałeś wtedy jak dziecko?

Następnego ranka wyruszyłem w drogę wraz z transportem chorych. Tym razem nie był to podstęp. Nie zmierzaliśmy jednak do komór gazowych, tylko rzeczywiście do obozu dla rekonwalescentów. Ci, którzy tak bardzo mi współczuli, pozostali w obozie, gdzie wkrótce głód zaczął dawać się bardziej we znaki niż w naszym nowym miejscu pobytu. Moi dawni towarzysze próbowali się ratować, lecz tym samym przypieczętowali swój los. Wiele miesięcy później, już po wyzwoleniu, spotkałem jednego z moich przyjaciół z poprzedniego obozu. Opowiedział mi, że jako obozowy policjant otrzymał pewnego dnia polecenie odnalezienia fragmentu ludzkiego ciała, który zniknął ze sterty trupów. Odnalazł je w garnku, w którym się gotowało, i skonfiskował. Tak wyglądały początki kanibalizmu w obozie. Wyjechałem stamtąd jak widać w samą porę.

Powyższa historia przypomina mi przypowieść zatytułowaną „Śmierć w Teheranie”. Pewnego razu bogaty i wpływowy Pers przechadzał się po ogrodzie z jednym ze swych służących. Służący ze łzami opowiedział mu, że dopiero co spotkał Śmierć, która mu groziła, i błagał swojego pana, aby podarował mu

najszybszego rumaka, ażeby mógł jak najprędzej umknąć do Teheranu, dokąd mógł dotrzeć jeszcze tego samego wieczora. Jego pan łaskawie na to przystał i służący pogalopował w siną dal. Po powrocie do domu Pers zastał tam Śmierć we własnej osobie i zapytał ją: „Dlaczego groziłaś memu słudze i tak go przeraziłaś?”. „Wcale mu nie groziłam; wyraziłam tylko swoje zdumienie, że wciąż jest tutaj, bo zamierzałam spotkać się z nim dziś wieczorem w Teheranie” – odparła Śmierć.

Więzień obozu jak ognia bał się podejmowania decyzji oraz konieczności przejawiania jakiejkolwiek inicjatywy. Wynikało to z głębokiego przekonania, iż człowiekiem rządzi los, on sam zaś w żadnym razie nie powinien nań wpływać, lecz z pokorą przyjmować jego wyroki. Dodatkowym problemem była apatia, która w nie mniejszym stopniu wpływała na zachowanie więźnia. Bywały jednak chwile, gdy umiejętność błyskawicznego podejmowania decyzji stawała się dla człowieka kwestią życia lub śmierci. Ale nawet wtedy niektórzy z nas woleli, by los wybrał za nich. Ta ucieczka od odpowiedzialności stawała się szczególnie widoczna, gdy chodziło o podjęcie decyzji dotyczącej ewentualnej próby ucieczki. W ciągu tych kilku minut, kiedy trzeba się było zdecydować – a zawsze była to kwestia minut – więzień cierpiał prawdziwe katusze. Czy powinien spróbować uciec? Czy powinien aż tak bardzo ryzykować?

Ja również na własnej skórze doświadczyłem podobnej udręki. Gdy front zbliżył się do obozu, nadarzyła się okazja do ucieczki. Jeden z moich kolegów po fachu, który w ramach swych obowiązków lekarskich musiał odwiedzać baraki poza granicami obozu, zapragnął zbiec i chciał, żebym razem z nim poszedł. Pod pretekstem odbycia konsultacji w sprawie pewnego pacjenta, którego przypadek wymagał porady specjalisty, przeschmugłował mnie kiedyś poza teren obozu. Oczekujący nas na zewnątrz członek zagranicznej organizacji ruchu oporu miał nam dostarczyć mundury i dokumenty. W ostatniej chwili doszło jednak do jakichś technicznych komplikacji i musieliśmy wrócić do obozu. Wykorzystaliśmy tę

okazję, żeby zaopatrzyć się w jakże potrzebne zapasy żywności – kilka zgniłych ziemniaków – i poszukać jakiegoś plecaka.

W tym celu włamaliśmy się do baraku dla kobiet, który stał pusty od chwili, gdy więźniarki przeniesiono do innego obozu. W środku panował straszny bałagan; widać było, że znacznej liczbie kobiet udało się zorganizować zapasy i zbiec przed wywózką. W baraku poniewierały się łachmany, stara słoma, gnijąca żywność i potłuczone naczynia. Kilka misek było w całkiem dobrym stanie i mogły okazać się dla nas cenne, ale zdecydowaliśmy się ich nie zabierać. Wiedzieliśmy, że w miarę jak warunki bytowe w obozie ulegały pogorszeniu, miski coraz częściej służyły więźniom nie tylko do jedzenia, lecz również do mycia się; wykorzystywano je także jako nocniki (w obozie obowiązywał surowo egzekwowany zakaz przechowywania w barakach jakichkolwiek przedmiotów codziennego użytku. Niektórzy – zwłaszcza chorujący na tyfus – byli jednak zmuszeni go łamać, jako że byli zbyt osłabieni, żeby nawet z czyjaś pomocą opuszczać barak). Stałem zatem na czujce, a mój kolega zakradł się do baraku, aby po chwili wrócić z plecakiem, który ukrył za pazuchą. W środku widział jeszcze jeden, który mogłem sobie przywłaszczyć. Zamieniliśmy się więc i teraz ja wszedłem do baraku. Przeszukując rozmaite rupiecie, wśród których znalazł się plecak i nawet szczoteczka do zębów, ujrzałem nagle, pomiędzy pozostawionymi w pośpiechu rzeczami, ciało martwej kobiety.

Wróciłem biegiem do baraku po swój skromny dobytek: miskę na zupe, parę podartych rękawic „odziedziczonych” po zmarłym na tyfus pacjencie oraz kilka skrawków papieru, na których stenografowałem swoje notatki (jak już wspominałem wcześniej, w obozie zacząłem odtwarzać z pamięci rękopis utracony w Auschwitz). Następnie odbyłem ostatni szybki obchód wśród swoich pacjentów, którzy leżeli, tuląc się do siebie, na spróchniałych pryzkach stojących rzędami po obu stronach baraku. Podszedłem do swojego jedyne go rodaka, umierającego człowieka, którego życie miałem ambicję ocalić na przekór wszystkiemu. Nie mogłem zdradzić się przed nim

z zamiarem ucieczki, lecz mój krajan najwyraźniej wyczuł, że coś jest nie w porządku (niewykluczone, że przejawiałem pewną nerwowość). Zapytał mnie zatem słabym głosem: „Więc ty też chcesz się stąd wydostać?”. Zaprzeczyłem, lecz nie potrafiłem uciec wzrokiem przed jego zasmuconym spojrzeniem. Po skończonym obchodzie jeszcze raz wróciłem do niego. Ponownie poczułem na sobie jego smutne spojrzenie, które odebrałem jako nieme oskarżenie. Przykre uczucie, jakie dręczyło mnie od chwili, gdy obiecałem memu znajomemu, iż razem z nim ucieknę, teraz jeszcze bardziej się nasiliło. Nieoczekiwanie postanowiłem choć raz wziąć los w swoje ręce. Wybiegłem z baraku i oznajmiłem mojemu towarzyszowi, że z nim nie idę. Gdy tylko przekazałem mu swoją ostateczną decyzję, mówiąc, że postanowiłem zostać ze swoimi pacjentami, przykre uczucie natychmiast mnie opuściło. Nie miałem pojęcia, co przyniosą nadchodzące dni, zyskałem jednak wewnętrzny spokój, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Wróciłem potem „na rewir”, usiadłem na drewnianej pryczy w nogach chorego rodaka i spróbowałem wlać w jego serce otuchę. Następnie zająłem się innymi pacjentami, usiłując uspokoić ich w gorączkowych majakach.

Nareszcie nadszedł ostatni dzień naszego pobytu w obozie. W miarę zbliżania się frontu organizowano masowe transporty, aż niemal wszyscy więźniowie zostali przeniesieni do innych obozów. Potem obozowe władze, kapo i kucharze salwowali się ucieczką. Tego dnia wydano rozkaz, zgodnie z którym obóz przed zachodem słońca miał być całkowicie ewakuowany. Mieli go opuścić nawet ci nieliczni więźniowie (chorzy, garstka lekarzy i kilku „pielęgniarzy”), którzy dotychczas w nim przebywali. Nocą obozowe budynki miały zostać spalone. Jednak ciężarówki, które po południu miały zabrać chorych, nie pojawiły się. Zamiast tego niespodziewanie zamknięto bramę obozu, a strażnicy bacznie obserwowali druty kolczaste, aby nikt nie próbował się przez nie wydostać. Wyglądało na to, że zamierzają nas spalić żywcem w barakach. Wówczas to po raz drugi podjęliśmy z moim przyjacielem decyzję o ucieczce.

Wcześniej otrzymaliśmy rozkaz pogrzebania trzech zmarłych poza ogrodzeniem z drutu kolczastego. Tylko my dwaj w całym obozie mieliśmy dość sił, aby wykonać to zadanie. Niemal wszyscy pozostali leżeli złożeni gorączką i majaczący w tych kilku barakach, które nadal były używane. Wtedy to zrodził się w naszych głowach plan: wraz z pierwszymi zwłokami postanowiliśmy przemycić plecak mojego towarzysza, ukrywając go w starej balii, która miała posłużyć jako trumna. Wynosząc z obozu drugie ciało, mieliśmy przeszmygłować w ten sam sposób mój plecak, a za trzecim razem zamierzaliśmy spróbować uciec. Pierwsze dwa kursy odbyły się zgodnie z planem. Po powrocie rozdzieliliśmy się: podczas gdy ja czekałem, mój przyjaciel udał się na poszukiwanie chleba, żebyśmy mieli czym zaspokoić głód w ciągu kolejnych kilku dni w lesie. Czekałem więc; mijały kolejne minuty. Z każdą chwilą coraz niecierpliwiej wyglądałem powrotu mego towarzysza. Po trzech latach pobytu w obozie wprost nie mogłem się już doczekać upragnionej wolności. Z radością wyobrażałem sobie, jak wspaniale będzie biec na spotkanie zbliżającego się frontu; nie dane mi jednak było się o tym przekonać.

Mój przyjaciel zjawiał się nareszcie, lecz w tym samym momencie otworzyła się szeroko obozowa brama i na plac apelowy godnie wtoczył się wspaniały, połyskujący aluminium samochód, na którego bokach namalowane były dwa czerwone krzyże. Jak się okazało, przywiózł on z Genewy wysłannika Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, pod którego bezpośrednią opieką miał się odtąd znajdować obóz i wszyscy pozostali w nim jeszcze więźniowie. Wysłannik ów zakwaterował się w pobliskim gospodarstwie, aby w razie nagłej potrzeby być blisko obozu. Kto w takiej sytuacji zawracałby sobie głowę uciekaniem? Z samochodu wyładowano całe skrzynie leków, więźniowie otrzymali też pod dostatkiem papierosów i zostali obfotografowani. Zapanowała powszechna radość, a najważniejsze było to, że nie musieliśmy już ryzykować życia, podejmując próbę ucieczki w kierunku zbliżającego się frontu.

W całym tym radosnym zamieszaniu całkiem zapomnieliśmy

o trzecim ciele, wynieśliśmy je więc teraz na zewnątrz i wrzuciliśmy do przygotowanego wcześniej wąskiego grobu, w którym pochowaliśmy już dwóch zmarłych. Towarzyszący nam strażnik – stosunkowo niegroźny osobnik – nieoczekiwanie był dla nas bardzo miły. Wiedział, że lada moment sytuacja może się odmienić na jego niekorzyść i próbował zaskarbić sobie naszą przychylność. Przyłączył się nawet do krótkiej modlitwy, jaką odmówiliśmy za dusze zmarłych, zanim zasypaliśmy grób ziemią. Po tych ostatnich dniach i godzinach, tak pełnych napięcia i podniecenia, stanowiących ostatni etap naszego wyścigu ze śmiercią, wypowiedane przez nas słowa wypraszające pokój duszy brzmiały tak żarliwie, że wprost trudno to opisać.

Tak więc ostatni dzień naszego pobytu w obozie upłynął pod znakiem oczekiwania na rychłe wyzwolenie. Nasza radość okazała się jednak przedwczesna. Wysłannik Czerwonego Krzyża zapewniał nas, że podpisano odpowiednie porozumienie, na mocy którego nie groziła już nam ewakuacja. Lecz jeszcze tej samej nocy obudził nas warkot ciężarówek; to esesmani przywieźli rozkaz likwidacji obozu. Ostatni pozostający przy życiu więźniowie mieli zostać przewiezieni do obozu centralnego, a stamtąd w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wysłani transportem do Szwajcarii, gdzie miała się dokonać ich wymiana na niemieckich jeńców wojennych. Wprost nie poznawaliśmy „naszych” esesmanów, tak byli nam życzliwi. Nakłaniali wszystkich, aby bez obawy wsiadali do ciężarówek, mówili, że powinniśmy być wdzięczni losowi za tak wielkie szczęście. Ci, którzy mogli, o własnych siłach wdrapywali się na ciężarówki; ciężko chorych i osłabionych z trudem na nie wciągano. Mój przyjaciel i ja, nie usiłując już dłużej ukrywać naszych plecaków, czekaliśmy w ostatniej grupie na swoją kolej. Okazało się jednak, że w ostatniej ciężarówce było miejsce tylko dla trzynastu spośród nas. Naczelny lekarz odliczył więźniów, pomijając przy tym mnie i mojego towarzysza. Trzynastu szczęśliwców trafiło na pakę ciężarówki, my zaś zostaliśmy na placu. Zaskoczeni, bardzo zdenerwowani

i rozczarowani obwinialiśmy naczelnego lekarza, który tłumaczył się zmęczeniem i roztargnieniem. Na koniec dodał, iż sądził, że nadal zamierzamy uciec z obozu. Poirytowani usiedliśmy na ziemi i nie zdejmując plecaków, czekaliśmy wraz z garstką innych więźniów na ostatni już transport. Oczekiwanie bardzo się jednak przedłużało. W końcu położyliśmy się spać na siennikach w opuszczonej wartowni, wyczerpani podnieceniem kilku ostatnich godzin i dni, podczas których miotaliśmy się między nadzieją a rozpaczą. Zasnęliśmy w butach i ubraniach, gotowi w każdej chwili wyruszyć w drogę.

Obudziły nas odgłosy wystrzałów i ognia artyleryjskiego; barak wypełnił się dymem, błyski pocisków przecinały ciemności nocy. Nadbiegł naczelnny lekarz i nakazał nam szukać schronienia na podłodze. Jeden z więźniów zeskoczył z górnej pryczy, trafiając obutymi stopami prosto w mój brzuch. To wydarzenie do reszty mnie otrzeźwiło! Dopiero po pewnym czasie zrozumieliśmy, co się stało: tak długo wyczekiwany front wreszcie zbliżył się do obozu! Z czasem odgłosy walki ucichły i nastał świt. Wyszliśmy przed barak. Na słupie przy bramie wjazdowej do obozu powiewała na wietrze biała flaga.

Wiele tygodni później dowiedzieliśmy się, że nawet w tych ostatnich godzinach naszego pobytu w obozie byliśmy igraszką w rękach kapryśnego losu. Mogliśmy się przekonać, jak niepewne bywają ludzkie decyzje, szczególnie w kwestiach życia i śmierci. Pokazano mi pewnego razu fotografie zrobione w pewnym małym obozie położonym niedaleko naszego. Otóż tamtej nocy wszyscy nasi towarzysze, którzy sądzili, że wyruszają w podróż ku upragnionej wolności, zostali przewiezieni ciężarówkami do tegoż obozu, a następnie zamknięci w pustych barakach i żywcem spaleni. Na zdjęciach można było rozpoznać ich częściowo zwęglone zwłoki. Przypomniała mi się wówczas przypowieść o Śmierci w Teheranie.

Poza tym, że w przypadku więźniów apatia pełniła funkcję mechanizmu obronnego, najzwyczajniej w świecie była ona także skutkiem działania wielu czynników. Na przykład głód oraz brak snu wywoływały apatię (jak to się zresztą dzieje również w normalnym życiu) oraz ogólne rozdrażnienie charakterystyczne dla stanu umysłu więźnia. Za brak snu odpowiadało po części dręczące nas robactwo, od którego, z uwagi na ogólny brak higieny i fatalne warunki sanitarne, roiły się nasze przepelnione baraki. Fakt, że pozbawiono nas zarówno nikotyny, jak i kofeiny, dodatkowo pogłębiał ów stan zubożenia i rozdrażnienia.

Oprócz powodów fizjologicznych istniały również przyczyny psychiczne, przybierające formę pewnych kompleksów. Większość więźniów cierpiała na coś w rodzaju kompleksu niższości. Dawniej każdy z nas był – lub przynajmniej uważał, że jest – „kimś”; teraz wszystkich nas traktowano jak kompletne zera (świadomość własnej wartości, jako zakorzeniona głębiej, w wyższych wartościach duchowych, nie ulegała tak łatwo zachwianiu w warunkach życia obozowego. Ale ilu ludzi wolnych, o więźniach nawet nie wspominając, jest nią obdarzona?). Podświadomie więzień czuł się istotą całkowicie zdegradowaną. Jest to szczególnie czytelne, jeśli prześledzi się kontrasty pomiędzy kolejnymi szczeblami specyficznej obozowej hierarchii. „Ważniejsi” więźniowie, kapo, kucharze, magazynierzy i obozowi policjanci z zasady wcale nie czuli się gorsi, w odróżnieniu od większości więźniów, wprost przeciwnie – uważali się za wyróżnionych! Niektórzy z nich przejawiali wręcz manię wielkości w miniaturze. Rzecz jasna pozostali zazdrościli im lepszej pozycji, a ich reakcje psychiczne wywołane przez gniew i zawiść przybierały rozmaite formy, na przykład postać żartów. Usłyszałem kiedyś, jak dwóch więźniów rozmawiało o pewnym kapo. Nagle jeden powiedział do drugiego: – Wyobraź sobie, że znałem go, gdy był tylko prezesem wielkiego banku. Czy to nie jest niezwykle, że zaszedł w życiu aż tak wysoko?

Za każdym razem, gdy zdegradowana większość

i wyróżniana mniejszość wchodziły ze sobą w konflikt (a okazji po temu nie brakowało, poczynając od rozdziału racji żywnościowych), wybuch był raczej nieunikniony. Do ogólnego rozdrażnienia (wywołanego przez opisane wyżej czynniki fizjologiczne) dochodziło jeszcze napięcie psychiczne; nic więc dziwnego, że często ich efektem były zbiorowe rękoczyny. Ponieważ więźniowie nieustannie byli świadkami scen bicia, automatycznie zwiększała się ich skłonność do przemocy. Sam często pod wpływem skrajnego głodu i zmęczenia czułem, jak moje pięści instynktownie zaciskają się w gniewie. A zmęczony byłem prawie bez przerwy, ponieważ całymi nocami musieliśmy dokładać do piecyka, który wolno nam było trzymać w baraku dla chorych na tyfus. Mimo to właśnie w środku nocy, kiedy inni spali albo majaczyli, przeżywałem prawdziwą idyllę, którą trudno porównać z czymkolwiek innym. Wyciągałem się wtedy przed piecykiem i na kradzionych węglach piekłem kradzione ziemniaki. Nazajutrz jednak byłem zawsze jeszcze bardziej zmęczony, apatyczny i rozdrażniony.

Zdarzyło się, że pracując jako lekarz na bloku dla chorych na tyfus, musiałem zastąpić blokowego, który także zachorował. Tym samym stałem się odpowiedzialny przed władzami obozu za utrzymanie baraku w czystości – o ile w ogóle w tych warunkach można było o niej mówić. Częste inspekcje, jakim nas w związku z tym poddawano, bardziej niż higienę miały na celu dręczenie nas. Więcej korzyści przyniosłoby zwiększenie racji żywnościowej i kilka leków, jednak inspektorów bardziej interesowało, czy na środku korytarza nie leży przypadkiem źdźbło słomy albo czy brudne, podarte i rojące się od robactwa koce pacjentów są porządnie złożone w nogach pryczy. Jeśli zaś chodzi o los więźniów, byli całkowicie obojętni. O ile tylko porządnie składałem meldunek, zrywając czapkę z ogolonej głowy i trzaskając obcasami: „Barak numer VI/9: 52 pacjentów, dwóch sanitariuszy i jeden lekarz”, byli usatysfakcjonowani i zaraz potem wychodzili. Jednak dopóki inspekcja się nie odbyła – często inspektorzy zjawiali się

wiele godzin później, niż było to zapowiedziane, a czasami wcale – moim obowiązkiem było nieustannie wyrównywać koce, zbierać źdźbła słomy, które spadły z prycz na podłogę, i pokrzykiwać na biedaków, którzy rzucali się na swoich posłaniach, obracając wniwecz moje wysiłki zmierzające do utrzymania ładu i czystości. Wśród gorączkujących pacjentów apatia była szczególnie nasiloną, dlatego tylko krzykiem można było spowodować pożądaną reakcję. Jednak nawet i ta metoda czasami zawodziła, a wówczas potrzeba było całej siły woli, żeby nikogo nie uderzyć. Rozdrażnienie przybierało monstrualne rozmiary w obliczu apatii innego człowieka, szczególnie w sytuacji zagrożenia (w tym wypadku zbliżającej się inspekcji).

Podejmując próbę analizy psychologicznej i psychopatologicznego wytłumaczenia charakterystycznego stanu umysłu więźnia obozu koncentracyjnego, liczyłem się z tym, że czytelnik może odnieść wrażenie, jakoby człowiek był całkowicie i w sposób nieunikniony zależny od swojego otoczenia (w tym wypadku przez otoczenie należy rozumieć specyfikę życia obozowego, która zmuszała więźnia do dostosowywania swoich zachowań do określonych wzorców). A co z wolnością człowieka? Czy nie istnieje coś takiego, jak wewnętrzna wolność w odniesieniu do naszych zachowań i wyborów w danej sytuacji? Czy prawdziwa jest teoria, zgodnie z którą człowiek nie jest niczym więcej, jak tylko produktem rozmaitych uwarunkowań, zarówno natury biologicznej, jak i psychologicznej czy socjologicznej? Czyżbyśmy byli jedynie wypadkową tych czynników? I wreszcie, co najważniejsze, czy reakcje więźniów na osobliwy świat obozu koncentracyjnego rzeczywiście świadczą o tym, że człowiek nie jest w stanie wyzwolić się spod wpływu swojego otoczenia? Czy to znaczy, że w obliczu pewnych okoliczności nie mamy swobody decydowania o własnym postępowaniu?

Na powyższe pytania można odpowiedzieć zarówno na podstawie własnych doświadczeń, jak i czysto teoretycznie. Doświadczenia życia obozowego wyraźnie pokazują, że człowiek

ma wolność wyboru tego, jak postępuje. Istnieje wystarczająco wiele przykładów, często niezwykle heroicznych, będących dowodem na to, iż apatię można było przezwyciężyć, a rozdrażnienie opanować. Człowiek może zachować resztki wewnętrznej wolności, niezależności myśli, nawet w warunkach tak koszmarного psychicznego i fizycznego stresu.

My, którzy byliśmy więzieni w obozach koncentracyjnych, dobrze pamiętamy ludzi wędrujących od baraku do baraku, pocieszających towarzyszy niedoli, ofiarujących im ostatni kawałek chleba. Nie było ich zbyt wielu, lecz stanowią wystarczający dowód na to, że człowiekowi można odebrać wszystko z wyjątkiem jednego – ostatniej z ludzkich swobód: swobody wyboru swojego postępowania w konkretnych okolicznościach, swobody wyboru własnej drogi.

Wyborów zaś trzeba było dokonywać bez przerwy. Każdy dzień, każda godzina stwarzały możliwość podejmowania decyzji – decyzji, od których zależało, czy człowiek ulegnie siłom mającym władzę pozbawić go własnego „ja”, jego wewnętrznej wolności; które rozstrzygały, czy stanie się igraszką w rękach losu, czy wyrzeknie się wolności i godności, pozwalając się wtłoczyć w schemat zachowań typowego więźnia.

Widziane z tej perspektywy psychiczne reakcje więźniów obozu koncentracyjnego muszą wydawać się czymś więcej niż tylko wyrazem pewnych fizjologicznych i socjologicznych uwarunkowań. Jeśli nawet takie okoliczności, jak niedobór snu, niedożywienie oraz różnego rodzaju stresy, mogłyby świadczyć o tym, że więźniowie zmuszeni byli reagować w określony sposób, w ostatecznym rozrachunku staje się jasne, że to, jakim człowiekiem więzień się stawał, było wynikiem wewnętrznej decyzji, a nie tylko efektem wpływów obozowej rzeczywistości. Zasadniczo zatem każdy człowiek jest w stanie – nawet w tak skrajnych okolicznościach – zdecydować o tym, kim się stanie, zarówno pod względem psychicznym, jak i duchowym. Innymi słowy, nawet w obozie koncentracyjnym można zachować ludzką godność. Dostojewski powiedział kiedyś: „Tylko jednego się obawiam: że nie okażę się godny

swojego cierpienia”. Słowa te często przychodziły mi na myśl, gdy zapoznawałem się z losami obozowych męczenników, których postępowanie, cierpienie i śmierć stanowiły żywy dowód tego, że człowiek nie może utracić ostatecznie ze swych wewnętrznych swobód. Można powiedzieć, że ludzie ci okazali się godnymi swego cierpienia; to, jak je znosili, było prawdziwym duchowym osiągnięciem. Bo przecież to właśnie nasza wewnętrzna wolność, której nikt nam nie jest w stanie odebrać, nadaje życiu sens i znaczenie.

Aktywne życie daje człowiekowi możliwość realizowania swoich wartości poprzez kreatywną pracę, a bierna umiejętność odczuwania przyjemnych doznań pozwala mu odnaleźć spełnienie poprzez doświadczanie piękna, sztuki lub natury. Gdyby jednak odrzec ludzkie życie z wszelkiej kreatywności i przyjemności, pozostanie w nim jeszcze jedna wartość, dopuszczająca jedynie zachowania najwyższej moralnej próby; wartością tą jest mianowicie nastawienie człowieka do własnej egzystencji – egzystencji podlegającej zewnętrznym ograniczeniom. Przebywającemu w obozie człowiekowi odbiera się możliwość prowadzenia twórczego, aktywnego życia, jak również pozbawia się go szans czerpania z życia przyjemności. Ale nie tylko życie kreatywne i polegające na bogactwie doznań ma sens; skoro życie jako takie ma jakikolwiek sens, wówczas musi mieć go również cierpienie. Ludzka egzystencja nie jest bowiem kompletna bez cierpienia i śmierci.

To, w jaki sposób człowiek akceptuje swoje przeznaczenie i cierpienie, jakie ono z sobą niesie, to, w jaki sposób bierze na barki swój krzyż, może być dla niego – nawet w najtrudniejszych chwilach – wyjątkową okazją do pogłębienia sensu własnego życia. Może bowiem wbrew wszystkiemu zachować odwagę i bezinteresowność albo walcząc zaciekle o przetrwanie, zapomnieć o swojej ludzkiej godności i zniżyć się do poziomu zwierzęcia. Człowiek może zatem wykorzystać szansę, jaką daje mu życie i wzrastać moralnie na przekór temu, co się z nim dzieje, ale może też ją odrzucić. Jego decyzja świadczy zaś o tym, czy jest godzien swojego cierpienia, czy nie.

Nie należy uważać tego rodzaju rozważań za zbyt oderwane od życia i rzeczywistości. To prawda, że zaledwie garstka ludzi jest zdolna wykazać się tak silnym kręgosłupem moralnym. Spośród tysięcy więźniów tylko nielicznym udało się zachować swoją wewnętrzną wolność i traktować cierpienie jako okazję do duchowego rozwoju, lecz nawet pojedynczy przykład stanowi wystarczający dowód na to, że dzięki wewnętrznej sile można wznieść się ponad wszystko, co przyniesie los. Zjawisko to nie ogranicza się zresztą do obozów koncentracyjnych; każdego dnia na całym świecie ludzie muszą stawiać czoła przeznaczeniu; mają wówczas szansę, aby poprzez swoje cierpienie osiągnąć coś dobrego.

Weźmy na przykład ludzi chorych, zwłaszcza nieuleczalnie. Wpadł mi kiedyś w ręce list napisany przez młodego inwalidę, w którym informował on swego przyjaciela, że – jak się właśnie dowiedział – nie pozostało mu wiele czasu i nawet operacja nie zdoła mu już pomóc. Wspominał także o pewnym filmie, który obejrzał, a którego bohaterem był człowiek odważnie i godnie oczekujący na śmierć. Ów młody człowiek uważał tego rodzaju spotkanie ze śmiercią za szczególne osiągnięcie. Na koniec stwierdził, że oto nadarza się okazja, aby udowodnić, że sam również jest zdolny do czegoś podobnego.

Ci, którzy przed laty widzieli filmową adaptację powieści Tolstoja zatytułowaną *Zmartwychwstanie*, mogli mieć podobne przemyślenia. Film mówił bowiem o wielkich ludziach, wychodzących naprzeciw bohaterskiemu przeznaczeniu. Jednak nas, którzyśmy go wówczas oglądali, nie czekał nawet w połowie tak wspaniały los; nie mieliśmy – tak nam się przynajmniej wydawało – żadnych szans, aby osiągnąć podobną wielkość. Po seansie wstąpiliśmy do kawiarni, gdzie przy filiżance kawy i kanapkach szybko wywietrzały nam z głowy niecodzienne metafizyczne rozważania, które na chwilę zagościły w naszych umysłach. Gdy jednak po latach dopadła nas historia i stanęliśmy oko w oko ze swoim przeznaczeniem, zmuszeni dokonać wyboru, który miał zaświadczyć o tym, iż dorównujemy bohaterom filmu duchową wielkością, okazało

się, że dawno pogrzebaliśmy swoje młodzińcze ideały. Zawiedliśmy.

Być może po latach niektórzy z nas po raz kolejny obejrzeliby tamten film – a może tylko do niego podobny. Niewykluczone też, że równocześnie z wyświetlanymi na ekranie scenami przed naszymi oczyma przesuwają się obrazy ludzi, którzy własnym życiem udowodnili znacznie więcej, niż był w stanie pokazać sentymentalny film. Bardzo możliwe, że przypomniła nam się wówczas czyjaś szczególnie bohaterska postawa – na przykład kobiety, przy której śmierci byłem obecny w obozie koncentracyjnym. To prosta historia, dosłownie kilka zdań. Może się wydawać, że sam ją wymyśliłem, ale dla mnie brzmi ona niczym poemat.

Młoda kobieta, o której mowa, wiedziała, że umrze w ciągu najbliższych kilku dni. A jednak kiedy z nią o tym rozmawiałem, sprawiała wrażenie radosnej. – Jestem wdzięczna losowi za to, że tak ciężko mnie doświadczył – oznajmiła mi. –

W poprzednim życiu byłam zepsuta i za nic miałam rozwój duchowy. – A wskazując na okno baraku, powiedziała: – To drzewo to mój jedyny przyjaciel w samotności. – Przez okno widziała tylko jedną gałąź kasztanowca, a na niej dwa rozkwitłe pąki. – Często z nim rozmawiam – dodała. Zaskoczony nie wiedziałem, jak mam to rozumieć. Czyżby chora już majaczyła? Czyżby cierpiała na halucynacje? Niespokojnie zapytałem, czy drzewo jej odpowiada. – Owszem. – A co takiego mówi? Na to kobieta odrzekła: – Powiedziało do mnie: jestem tutaj, jestem tutaj i mam w sobie życie, życie wieczne.

Jak już podkreśliłem, stan psychiczny więźnia był w ostatecznym rozrachunku nie tyle skutkiem wymienionych wyżej czynników psychofizycznych, ile wynikiem świadomej podjętej decyzji. Psychologiczne obserwacje więźniów dowiodły, że tylko ci, którzy pozwolili upaść swoim moralnym i duchowym wartościom, ulegali ostatecznie degenerującym wpływom obozowym. Nasuwa się zatem pytanie: co mogło – lub powinno – powstrzymać upadek owej „wewnętrznej twierdzy”?

Opisując lub spisując swe doświadczenia, byli więźniowie zgadzają się, że najbardziej przygnębiającym elementem obozowej rzeczywistości była niepewność co do długości trwania niewoli. Nikt z nas nie znał daty swojego wyzwolenia (w naszym obozie nie warto było nawet zaprzętać sobie tym głowy). Co więcej, mieliśmy świadomość, że czas, jaki spędzimy za drutami, jest nie tylko niepewny, ale przede wszystkim nieokreślony. Pewien znany psycholog zauważył, że życie w obozie koncentracyjnym było czymś w rodzaju „tymczasowej egzystencji”. Jego spostrzeżenie można by rozbudować, mówiąc, że była to „tymczasowa egzystencja zaplanowana na czas bliżej nieokreślony”.

Nowo przybyli z reguły nic nie wiedzieli o panujących w obozie warunkach. Ci, którzy trafiali tam z innych obozów, byli zobowiązani do zachowania tajemnicy, z niektórych zaś obozów nikt nigdy nie wracał. Z chwilą znalezienia się za drutami w umysłach więźniów zachodziła drastyczna przemiana. Koniec jednego rodzaju niepewności oznaczał początek niepewności końca. Nikt nie był w stanie przewidzieć, czy w ogóle, a jeśli tak, to kiedy, ta nowa forma egzystencji dobiegnie kresu.

Łaciński wyraz *finis* ma dwa znaczenia: koniec lub cel, który należy osiągnąć. Człowiek, który nie dostrzegał końca swojej „tymczasowej egzystencji”, nie był w stanie dążyć do jakiegokolwiek celu. W przeciwieństwie do ludzi żyjących w normalnych warunkach nie potrafił już żyć dla przyszłości. Zmieniała się w związku z tym cała struktura jego psychiki; pojawiały się oznaki wewnętrznego rozkładu, znane dobrze z innych dziedzin życia. W podobnej sytuacji znajdują się bezrobotni. Ich egzystencja nabiera cech tymczasowości; w pewnym sensie nie są oni zdolni myśleć o przyszłości czy dążyć do jakiegokolwiek celu. Badania przeprowadzone wśród bezrobotnych górników wykazały, że cierpią oni na pewne zaburzenia postrzegania czasu – czasu wewnętrznego – będące wynikiem braku zajęcia. Więźniowie mieli podobne doświadczenia, jeśli chodzi o postrzeganie czasu. W obozie

podstawowa jednostka miary czasu (na przykład dzień), na którą składały się godziny fizycznych i psychicznych tortur, zdawała się nie mieć końca, podczas gdy większe jednostki (powiedzmy tydzień) mijały jak w oka mgnieniu. Moi towarzysze zgodzili się ze mną, gdy zauważyłem, że w obozie jeden dzień trwa dłużej niż tydzień. Jakże paradoksalne było to nasze odczuwanie czasu! Nasuwa się w tym miejscu skojarzenie z *Czarodziejską górą* Tomasza Manna, które to dzieło zawiera wiele celnych z punktu widzenia psychologa uwag. Mann bada tam duchowe przemiany ludzi znajdujących się w analogicznej sytuacji psychicznej, a mianowicie chorych na gruźlicę pacjentów sanatorium, którzy również nie znają daty swego zwolnienia. Doświadczają oni podobnej egzystencji, w oderwaniu od przyszłości, pozbawieni celów, do których nie są zdolni dążyć.

Jeden z więźniów, który w dniu swego przyjazdu maszerował w długiej kolumnie nowo przybyłych ze stacji kolejowej do obozu, wyznał mi później, że miał wówczas wrażenie, jakby udawał się na własny pogrzeb. Jego życie wydało mu się nagle pozbawione jakiejkolwiek przyszłości. Czuł raczej, że właśnie dobiegło ono końca i stanowi zamknięty rozdział – tak jakby już umarł. Owo poczucie martwoty nasilały dodatkowo inne czynniki: w kwestii czasu najbardziej dawała się we znaki niepewność co do terminu końca niewoli, w kwestii przestrzeni życiowej – fizyczne ograniczenia obozu. Wszystko, co znajdowało się poza linią drutów kolczastych, wydawało się niezwykle odległe, całkowicie poza naszym zasięgiem, a co za tym idzie – w pewnym sensie nierealne. Zewnętrzne wydarzenia, ludzie wiodący normalne życie gdzieś na wolności – wszystko to miało dla więźniów posmak marzenia sennego. Obserwowaliśmy toczące się poza granicami obozu życie – a przynajmniej te jego przejawy, które byliśmy w stanie dostrzec spoza drutów – czując się tak, jak musi się czuć zmarły spoglądający na ziemię z zaświatów.

Nie widząc dla siebie w przyszłości żadnego celu, do którego miałyby dążyć, więzień obozu upadał na duchu i pogrążał się

w retrospektywnych rozmyślaniach. W innym miejscu wspominałem o tendencji do zanurzania się w przeszłości, która to skłonność miała za zadanie odrealnienie jakże przykrych teraźniejszości, ze wszystkimi jej koszmarami. Z odzieraniem rzeczywistości z jej realnych wymiarów wiązało się jednak pewne niebezpieczeństwo. Łatwiej było przeoczyć szanse na zrobienie czegoś pozytywnego ze swoim życiem, szanse, których – zapewniam – naprawdę nie brakowało. Odrealnianie naszej „tymczasowej egzystencji” było samo w sobie ważnym powodem, dla którego więźniowie tracili chęć do dalszego życia; z tej perspektywy bowiem wszystko wydawało się pozbawione sensu. Łatwo było zapomnieć, że skrajnie trudne położenie często bywa okazją do duchowego rozwoju. Zamiast potraktować trudy pobytu w obozie jako egzamin sprawdzający ich wewnętrzną siłę, zrezygnowani więźniowie przestawali brać życie na serio i pogardzali nim, jakby było czymś całkiem bez znaczenia. Woleli zamykać oczy i żyć przeszłością. Dla nich życie bezpowrotnie utraciło swój sens.

Oczywiście tylko nieliczni byli w stanie wznieść się na moralne i duchowe wyżyny. Niektórym jednak udawało się dokonywać rzeczy wielkich i dowodzić swego człowieczeństwa, chociaż pozornie ponosili klęskę, tracąc życie. Podobne osiągnięcie byłoby niemożliwe w normalnych warunkach. Jeśli chodzi o resztę nas, niezdecydowanych i przeciętnych, warto przytoczyć słowa Bismarcka: „Życie jest jak wizyta u dentysty. Wydaje się, że najgorsze jeszcze przed nami, a tymczasem dawno jest już po wszystkim”. Parafrazując tę wypowiedź, można by stwierdzić, że większość ludzi przebywających w obozie koncentracyjnym była święcie przekonana, iż życie nie ma im już nic więcej do zaoferowania; tymczasem każdy kolejny dzień tam spędzony mógł stanowić nową szansę i nowe wyzwanie. Człowiek mógł albo przezwyciężyć trudności, przekuwając codzienne doświadczenia w duchowe triumfy, albo, nie podejmując wyzwań, wegetować, jak robiła to przeważająca większość więźniów.

Jakiegolwiek próby przeciwdziałania patologicznemu wpływowi życia obozowego na psychikę więźnia, odwołujące się do metod psychoterapeutycznych czy psychohygienicznych, sprowadzały się do dodawania „pacjentowi” otuchy i krzepienia jego wewnętrznej siły poprzez wyznaczenie mu jasnego celu, do którego miał następnie dążyć. Instynktownie niektórzy więźniowie próbowali samodzielnie wytyczać sobie ów cel. Specyfika ludzkiej natury polega na tym, że umiemy żyć tylko wtedy, gdy patrzymy w przyszłość – „sub specie aeternitatis”. To jest naszym zbawieniem w najtrudniejszych momentach życia, choć czasem siłą woli musimy się zmuszać do spoglądania przed siebie.

Przypomina mi się w tym miejscu pewne własne doświadczenie. Z bólem, który niemal wyciskał mi łzy z oczu (na stopach miałem potworne rany od noszenia podartych butów), kuśtykałem przez kilka kilometrów w długiej kolumnie więźniów zdążających z obozu na miejsce pracy. Smagał nas lodowaty, przenikliwy wiatr, ja zaś nie przestawałem roztrząsać w myślach niezliczonych problemów naszej przygnębiającej egzystencji. Co dostaniemy wieczorem do jedzenia? Czy jeśli trafi się dodatek w postaci kielbasy, to powinienem ją wymienić na kawałek chleba? Czy lepiej przehandlować ostatniego papierosa, który został mi z dodatkowego przydziału sprzed dwóch tygodni, za miskę zupy? Skąd wziąć kawałek drutu, żeby zastąpić nim ten, który pełnił dotychczas rolę sznurowadła i właśnie się zerwał? Czy zdążę dotrzeć na czas na miejsce pracy i dołączę do swojego zwykłego komanda, czy może będę zmuszony pracować w innym, którym dowodzi jakiś brutalny strażnik? Jak zaskarbić sobie przychyłność kapo, który mógłby załatwić mi pracę wewnątrz obozu, dzięki czemu uniknąłbym codziennych morderczych marszów?

W pewnym momencie poczułem obrzydzenie do otaczającej mnie rzeczywistość, która w każdej godzinie dnia zmuszała mnie do roztrząsania tak trywialnych kwestii. Spróbowałem więc dla odmiany zająć myśli czymś innym. Nagle ujrzałem samego siebie, stojącego na mównicy w jasno oświetlonej,

cieplej i przytulnej auli. Przed sobą widziałem skupione twarze słuchaczy siedzących na wygodnych, miękkich krzesłach. Wygłaszałem dla nich wykład na temat psychologii w kontekście obozu koncentracyjnego! Przytłaczająca mnie ponura rzeczywistość w jednej chwili stała się przedmiotem obiektywnej naukowej analizy przeprowadzanej z chłodnym dystansem. W ten sposób zdołałem w pewien sposób wznieść się ponad trudne położenie, w jakim się znalazłem, ponad swoje obecne cierpienia; obserwowałem je z pewnego oddalenia, tak jak patrzy się na coś należącego już nieodwołalnie do przeszłości. Zarówno ja sam, jak i moje codzienne troski staliśmy się obiektem interesującego studium psychonaukowego, przeprowadzonego przeze mnie samego. Cóż takiego mówi Spinoza w swojej *Etyce*? „Affectus, qui passio est, desinit esse passio simultaque eius claram et distinctam formamus ideam” – cierpienie przestaje być cierpieniem, jeśli stworzymy sobie jasny i klarowny obraz wywołujących go emocji.

Więzień, który stracił całą wiarę w przyszłość – w swoją przyszłość – był skazany na zagładę. Wraz z utratą wiary w przyszłość tracił jednocześnie swoją duchową orientację. Rezygnując z walki o samego siebie, popadał w psychiczną i fizyczną ruinę. Upadek ten był zwykle nagły i przyjmował formę kryzysu, którego symptomy były oczywiste dla bardziej doświadczonych więźniów. Wszyscy obawialiśmy się tego momentu i z niepokojem wyglądaliśmy zwiastujących go objawów – nie u siebie rzecz jasna, gdyż to byłoby niemożliwe, ale u swoich towarzyszy. Zazwyczaj zaczynało się od tego, że pewnego ranka więzień odmawiał ubrania się, umycia i wyjścia na plac apelowy. Nie pomagały wówczas żadne błagania, kary ani groźby. Nieszczęśnik po prostu leżał na pryczy i ani drgnął. Jeżeli przyczyną załamania była choroba, więzień odmawiał również przeniesienia „na rewir” i odrzucał wszelkie inne próby udzielenia mu pomocy. Najzwyczajniej się poddawał. Leżał nieruchomo na pryczy, w kałuży własnych ekskrementów, i nic

nie mogło wyrwać go ze stanu otępienia.

Kiedyś miałem okazję na własne oczy przekonać się, jak bliski jest związek między utratą wiary w przyszłość i owym jakże groźnym stanem rezygnacji. Pewnego dnia F., starszy blokowy w naszym baraku, przed wojną dość popularny kompozytor i librecista, zwierzył mi się mówiąc: – Chciałbym coś panu powiedzieć, doktorze. Miałem bardzo dziwny sen. Jakiś głos oznajmił mi, że jeśli chcę, mogę otrzymać odpowiedź na dowolne pytanie, muszę tylko powiedzieć, co mnie interesuje. Jak pan myśli, o co zapytałem? Odparłem, że chciałbym wiedzieć, kiedy dla mnie skończy się ta wojna. Rozumie pan, co miałem na myśli, doktorze? Kiedy skończy się ona dla mnie! Chciałem się dowiedzieć, kiedy my wszyscy, cały nasz obóz, zostaniemy wyzwoleni, a nasze cierpienia wreszcie dobiegną końca.

– Kiedy przyśnił się panu ten sen? – zapytałem.

– W lutym 1945 roku – odrzekł. A był akurat początek marca.

– I cóż odpowiedział panu ów głos?

Blokowy szepnął mi na ucho:

– Trzydziestego marca.

Gdy F. powiedział mi o swoim śnie, jego nadzieja wciąż jeszcze była żywa, a on sam święcie przekonany, że tajemniczy głos powiedział prawdę. Lecz w miarę jak zbliżała się zapowiedziana we śnie data, z frontu docierało coraz więcej wieści każących nam wątpić w rychłe wyzwolenie obozu. Dwudziestego dziewiątego marca F. nagle zachorował i zaczął gorączkować. Trzydziestego marca, w dniu, kiedy zgodnie z wyśnioną przepowiednią wojna i cierpienia miały się dla niego skończyć, F. zaczął majaczyć, a potem całkiem stracił przytomność. Trzydziestego pierwszego marca już nie żył. Wszystkie zewnętrzne objawy wskazywały na to, że umarł na tyfus.

Ci, którzy orientują się, jak bliski jest związek między stanem umysłu człowieka – jego odwagą i nadzieją albo ich

brakiem – a odpornością ludzkiego organizmu, z pewnością rozumieją, że nagła utrata nadziei i odwagi może mieć wręcz katastrofalne skutki. Prawdziwą przyczyną śmierci mojego znajomego był potworny zawód związany z tym, że nie nastąpiło tak wyczekiwane przez niego wyzwolenie. To z kolei obniżyło jego odporność na przebiegającą dotąd w utajeniu infekcję. Jego wiara w przyszłość i wola życia były jak sparaliżowane, a organizm praktycznie bez walki poddał się wirusowi tyfusu – i w ten sposób paradoksalnie sprawdziła się przepowiednia tajemniczego głosu.

Obserwacje, jakie zgromadziłem na przykładzie tego jednego przypadku, oraz wyciągnięte na ich podstawie wnioski zgadzają się co do joty z pewnym zjawiskiem, na które zwrócił mi kiedyś uwagę naczelný lekarz naszego obozu. W tygodniu pomiędzy Bożym Narodzeniem 1944 roku a Nowym Rokiem 1945 śmiertelność w obozie zwiększyła się w sposób wcześniej nieodnotowany. Według mojego rozmówcy przyczyną tego nagłego wzrostu nie była konieczność cięższej pracy fizycznej, pogarszające się wyżywienie, zmiana pogody ani nowe epidemie. Chodziło po prostu o to, że przeważająca większość więźniów żyła wcześniej naiwną nadzieją, iż Boże Narodzenie spędzą już na wolności, we własnych domach. Jednak w miarę jak do świąt było coraz bliżej, a z frontu nie dochodziły żadne krzepiące wieści, więźniowie coraz bardziej tracili nadzieję i ulegali rozczarowaniu. To zaś miało wprost zabójczy wpływ na ich odporność i w konsekwencji wielu z nich umarło.

Jak już wcześniej wspominałem, początkiem wszelkich prób wskrzeszenia w człowieku jego wewnętrznej siły musiało być wskazanie mu jakiegoś celu w życiu. Słynne słowa Nietzschego – „Ten, kto wie, dlaczego żyje, nie troszczy się o to, jak żyje” – mogłyby stanowić myśl przewodnią wszystkich psychoterapeutycznych i psychohigienicznych zabiegów skierowanych do więźniów obozu koncentracyjnego. Przy każdej nadarzającej się okazji trzeba było wskazywać im to dlaczego – konkretny życiowy cel – bo tylko w ten sposób mogli odnaleźć w sobie siły do dalszego znoszenia koszmaru jak swojej

egzystencji. Biada temu, kto przestawał dostrzegać w życiu cel, sens i jakąkolwiek wartość, ponieważ zarazem automatycznie zakładał, że nie ma już po co żyć. Nie mijało wiele czasu, a taki człowiek był całkiem stracony. Typowy komentarz, jakim się posługiwał, aby odrzucić wszelkie dodające mu otuchy argumenty, brzmiał: „Nie mam już czego oczekiwać od życia”. Cóż można było na coś takiego odpowiedzieć?

Rzeczą absolutnie niezbędną była fundamentalna zmiana nastawienia człowieka do jego życia. Sami musieliśmy się uczyć, a następnie przekazywać zrozpaczonym towarzyszom, że nie liczy się to, czego my oczekujemy od życia, ale czego życie oczekuje od nas. Musieliśmy przestać zadawać sobie pytania o sens naszej egzystencji, a w zamian nauczyć się myśleć o sobie jak o ludziach poddawanych przez życie – w każdej godzinie dnia – nieustannemu egzaminowi. Chcąc go zdać, należało porzucić czczą gadaninę oraz rozmyślania na rzecz podejmowania właściwych działań i właściwego postępowania. Ostatecznie życie sprowadza się do wzięcia na siebie odpowiedzialności za znalezienie właściwego rozwiązania problemów i zadań, jakie stale stawia ono przed każdym z nas.

Zadania te, a co za tym idzie, również sens życia, są różne dla różnych ludzi i sytuacji. Niemożliwością jest zatem podanie ogólnej definicji sensu życia. Pytań o sens życia nie załatwią ogólnikowe odpowiedzi. „Życie” nie jest bowiem mglistym konceptem, lecz jak najbardziej realną i konkretną rzeczywistością, podobnie jak życiowe zadania są także czymś bardzo realnym i konkretnym. To one kształtują nasze przeznaczenie, które w każdym przypadku jest inne i wyjątkowe. Żaden człowiek i żaden ludzki los nie może być porównywany z innym człowiekiem i innym losem. Każda sytuacja jest niepowtarzalna i każda wymaga innych reakcji. Czasami okoliczności, w jakich się znaleźliśmy, wymagają od nas sterowania własnym przeznaczeniem poprzez konkretne działania. Kiedy indziej lepiej jest skorzystać z okazji do chwili kontemplacji i w ten sposób wygrywać swoje atuty. Zdarza się też, że człowiek jest zmuszony po prostu zaakceptować wyrok

losu i pokornie dźwigać swój krzyż. Każda sytuacja jest wyjątkowa i zawsze istnieje tylko jedno właściwe rozwiązanie problemu, z jakim w danej sytuacji przychodzi nam się zmierzyć.

Gdy człowiek odkrywa, że jego przeznaczeniem jest cierpieć, musi potraktować to cierpienie jako zadanie do wypełnienia – jedyne i wyjątkowe zarazem. Musi przyjąć do wiadomości, że także w cierpieniu pozostaje kimś wyjątkowym, samotnym bytem we wszechświecie. Nikt mu nie ulży ani nie będzie cierpieć za niego. Ma on jednak unikatową szansę wyboru sposobu, w jaki uniesie swoje brzemie.

Dla nas, więźniów, podobne rozważania nie były wcale oderwanymi od rzeczywistości spekulacjami. Tylko takie myśli mogły nam wówczas pomóc. To dzięki nim nie popadaliśmy w rozpacz nawet wtedy, gdy szanse na to, aby wyjść z tego koszmaru żywym, zdawały się być bliskie zera. Okres pytań o sens życia – etap naiwnych dywagacji, w których życie rozumiane było jako proces osiągania pewnych celów poprzez aktywne działanie i tworzenie czegoś wartościowego – mieliśmy już dawno za sobą. Dla nas sens życia obejmował teraz szersze zagadnienia życia i śmierci, cierpienia i umierania.

Gdy objawiło nam się już znaczenie cierpienia, nie umniejszaliśmy ani nie lekceważyliśmy obozowych koszmarów, ignorując je czy podtrzymując w sobie fałszywe złudzenia bądź sztuczny optymizm. Cierpienie stawało się dla nas zadaniem, od którego nie chcieliśmy się odwracać. Zdawaliśmy sobie sprawę z ukrytego wyzwania, jakim może być cierpienie, tego samego wyzwania, które kazało poecie Rilkemu napisać: „Wie viel ist aufzuleiden!” – ileż jeszcze trzeba wycierpieć! Rilke mówił o cierpie-niu tak, jak inni mówią o zadaniu do wykonania. Przed nami również było wiele do wycierpienia. Konieczne było zatem staniecie twarzą w twarz z czekającym nas ogromem cierpienia oraz próba ograniczenia do minimum momentów słabości i ukradkowo ocieranych łez. Nie musieliśmy się ich już jednak wstydzić, jako że odtąd miały być dowodem największej ludzkiej odwagi – odwagi, aby godnie

cierpieć. Tylko niewielu z nas zdawało sobie z tego sprawę. Niektórzy ze wstydem przyznawali się od czasu do czasu, że zdarzyło im się płakać, jak ów towarzysz, który w odpowiedzi na moje pytanie o to, jak znosi swoje obrzęki, odparł: – Wyplakałem je całkowicie ze swojego organizmu.

Nieśmiałe początki psychoterapii lub psychohigieny miały charakter indywidualny albo zbiorowy – o ile, rzecz jasna, było to w ogóle w danym obozie możliwe. Próby indywidualnych sesji psychoterapeutycznych często spełniały rolę „procedury ratującej życie” i koncentrowały się głównie na zapobieganiu samobójstwom. W obozie obowiązywał surowy zakaz ratowania samobójców; nie wolno było na przykład odciąć człowieka, który usiłował się powiesić. Dlatego tak ważne było, aby w ogóle nie dopuszczać do podobnych sytuacji.

Pamiętam szczególnie dwie niedoszłe próby samobójcze, uderzająco do siebie podobne. Dwaj więźniowie zwierzyli się współtowarzyszom z zamiaru odebrania sobie życia. Obaj posłużyli się typowym argumentem – że niczego już od życia nie oczekują. Trzeba im było uświadomić, że to życie nadal oczekuje czegoś od nich i że w przyszłości czeka ich konkretny sens do wypełnienia. Później okazało się, że dla jednego z mężczyzn owym sensem było dziecko, które uwielbiał i które czekało na niego za granicą. Dla drugiego była to rzecz, nie osoba. Człowiek ten był naukowcem, autorem serii książek, które wciąż czekały na ukończenie. Nikt inny nie mógł wykonać za niego tej pracy, tak jak nikt inny nie byłby w stanie zająć miejsca ojca w sercu jego dziecka.

To, że jako istoty ludzkie jesteśmy wyjątkowi i jedyni w swoim rodzaju, wyróżnia nas spośród innych, nadając sens naszej egzystencji i wpływając w jednakowy sposób zarówno na naszą pracę twórczą, jak i na naszą zdolność do miłości. Kiedy uświadomimy sobie, że nie da się zastąpić jednego człowieka drugim, rola odpowiedzialności, jaką ponosimy za własne życie i jego podtrzymywanie, ukaże nam się w całej swej wielkości. Człowiek, który zda sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ma

wobec innej ludzkiej istoty, która go kocha i z niecierpliwością wyczekuje jego powrotu, albo wobec jakiejś nieukończonych pracy, nigdy nie będzie zdolny odebrać sobie życia. Wie już, dlaczego żyje, a to pozwoli mu znieść to, jak żyje.

Możliwości grupowej psychoterapii były w obozie siłą rzeczy ograniczone. W tej sytuacji dobry przykład odnosił często lepszy skutek, niż mogłyby mieć jakiekolwiek słowa. Starszy blokowy, który nie sprzyjał obozowym władzom, miał setki okazji, aby przez swoje sprawiedliwe i życzliwe zachowanie wywierać daleko bardziej znaczący moralnie wpływ na swoich podwładnych niż strażnik innego pokroju. Bezpośredni wpływ czyjegoś zachowania jest zawsze bardziej skuteczny od słów. Czasami jednak również słowo miało swoją moc, zwłaszcza w sytuacjach gdy pewne zewnętrzne okoliczności zwiększały chłonność umysłu człowieka. Dobrze pamiętam dzień, gdy nieoczekiwanie nadarzyła się okazja do przeprowadzenia sesji psychoterapeutycznej z udziałem wszystkich mieszkańców baraku, których umysły stały się bardziej otwarte i chłonne za sprawą pewnego wydarzenia.

To był bardzo ciężki dzień. Podczas apelu wyczytano listę postępów, które od tej pory miały być traktowane jako sabotaż i bez zwłoki karane śmiercią przez powieszenie. Należały do nich takie zbrodnie, jak odcinanie kawałków materiału z naszych starych koców (w celu zrobienia z nich zaimprovizowanych ochraniaczy na kostki u nóg) oraz wszelkie inne drobne „kradzieże”. Kilka dni wcześniej na wpół zagłodzony więzień włamał się do składu ziemniaków i ukradł kilka kilogramów. Kradzież odkryto, a jacyś więźniowie rozpoznali „włamywacza”. Gdy władze obozowe dowiedziały się o tym fakcie, nakazały, aby przekazać im winnego; w przeciwnym razie cały obóz miał przez jeden dzień głodować. Oczywiście w tej sytuacji dwa i pół tysiąca więźniów wołało pościć.

Wieczorem owego dnia postu leżeliśmy w baraku w bardzo ponurych nastrojach. Prawie wszyscy milczeli, a każde słowo

budziło irytację. Nagle, na domiar złego, w całym baraku zgasło światło. Ogarnęło nas skrajne przygnębienie. Lecz starszy blokowy był mądrym człowiekiem. Naprędce zaimprovizował krótką przemowę, w której wyraził wszystko, co nas w tamtej chwili gnębiło. Wspomniał o tych naszych towarzyszach, którzy zmarli w ciągu minionych dni z powodu chorób, i o tych, którzy sami odebrali sobie życie. Dodał jednak, że prawdziwa przyczyna ich śmierci była jedna i zawsze ta sama: utrata nadziei. Na koniec orzekł, że musi być jakiś sposób, aby na przyszłość uchronić innych przed podobną apatią, a następnie zwrócił się do mnie z prośbą o poradę.

Bóg jeden wie, że nie byłem w nastroju do udzielania psychologicznych rad czy wygłaszania kazań – a tymczasem wymagano ode mnie, abym stał się dla moich towarzyszy lekarzem dusz. Byłem zmarznięty i głodny, rozdrażniony i zmęczony, ale musiałem zdobyć się na wysiłek i wykorzystać tę wyjątkową okazję, jaka się nadarzała. W tamtej chwili bowiem bardziej niż czegokolwiek innego wszyscy potrzebowaliśmy otuchy.

Zacząłem więc od najbardziej trywialnych słów pociechy. Powiedziałem, że nawet teraz, w Europie szóstej zimy drugiej wojny światowej, można wyobrazić sobie położenie znacznie gorsze od tego, w którym się aktualnie znajdowaliśmy. Poprosiłem, żeby każdy zadał sobie pytanie, jakich to nieodwracalnych strat do tej pory doznał, i oznajmiłem, że w większości przypadków zapewne nie było ich aż tak wiele. Każdy, komu udało się utrzymać przy życiu, miał powód, żeby nie tracić nadziei. Zdrowie, rodzina, szczęście, umiejętności zawodowe, majątek, status społeczny – wszystko to można na powrót odzyskać lub odbudować. W końcu nasze kości wciąż były całe. Wszystko, przez co dotąd przeszliśmy, mogło jeszcze w przyszłości okazać się dla nas źródłem siły. W tym miejscu przytoczyłem słowa Nietzschego: „Was mich nicht umbringt, macht mich stärker” – co mnie nie zabija, czyni mnie silniejszym.

Następnie podjąłem temat przyszłości. Powiedziałem, że

obiektywnie rzecz biorąc, nasza przyszłość wydaje się beznadziejna. Zgodziłem się, że każdy z nas najlepiej wie, jak nikłe są jego szanse na przeżycie. Dodałem, że chociaż w obozie nie ma jeszcze epidemii tyfusu, swoje własne szanse określiłbym jako jeden do dwudziestu. Zapowiedziałem przy tym, że mimo wszystko nie mam zamiaru tracić nadziei i się poddawać. Nikt bowiem nie wie, co przyniesie przyszłość, nie mówiąc już o najbliższych godzinach. I nawet, jeśli w ciągu kilku dni nie dane nam będzie doczekać sensacyjnych wieści z frontu, to kto wie lepiej od nas, którzy tyle już przecierpieliśmy w różnych obozach, jak niezwykle i niespodziewane możliwości otwierają się czasami przed więźniami, przynajmniej niektórymi. Można było na przykład trafić nieoczekiwanie do komanda pracującego w szczególnie dobrych warunkach – bo do tego sprowadzało się głównie nasze obozowe „szczęście”.

Nie mówiłem jednak wyłącznie o przyszłości i spowijającej jej zasłonie. Wspominałem również przeszłość – wszystkie jej radości, które nadal nas opromieniały, nawet w obecnym mroku. I znów przytoczyłem słowa poety – aby nie robić z siebie kaznodziei – który napisał: „Was Du erlebst, kann keine Macht der Welt Dir rauben” – żadna siła na ziemi nie odbierze ci tego, czego doświadczyłeś. Nie tylko nasze doświadczenia, ale wszystko, czego dokonaliśmy, wszystkie wielkie myśli, jakie się w nas zrodziły, i wszystko, cośmy wycierpieli, nie poszło na marne, choć należy już do przeszłości, bo my zbudziliśmy to do życia. To, czym się było, również jest formą bytu, być może najpewniejszą.

Kolejnym tematem były niezliczone możliwości, jakimi dysponujemy, aby nadać życiu sens. Powiedziałem moim towarzyszom – którzy leżeli nieruchomo, choć od czasu do czasu dawało się słyszeć pojedyncze westchnienia – że bez względu na okoliczności życie ludzkie nigdy nie traci sensu i na ten nieskończony sens życia składają się także cierpienie i umieranie, nędza i śmierć. Następnie poprosiłem owych nieszczęśników, którzy słuchali mnie z uwagą w ciemnościach

baraku, aby stawili czoło powadze naszej sytuacji. Nie wolno im utracić nadziei; muszą odnaleźć odwagę w pewności, że nawet najbardziej beznadziejna walka nie jest w stanie odebrać im godności ani wiary w sens życia. Dodałem, że w tych trudnych chwilach na każdego z nas ktoś spogląda z góry – przyjaciel, żona, ktoś żywy lub zmarły, a może sam Bóg – i liczy, że go nie zawiedziemy. Ten ktoś ma nadzieję, że będziemy cierpieć z dumą – a nie z rozpaczą – i że będziemy umieli godnie umrzeć.

Na koniec mówiłem jeszcze o naszym poświęceniu, które w każdym przypadku ma sens. Tym, co je charakteryzowało, było to, iż w normalnym świecie, świecie sukcesów materialnych, uznano by je za bezsensowne. Lecz nasza ofiara naprawdę miała swoje znaczenie. Dodałem uczciwie, że najlepiej zrozumieją to ci spośród nas, którym udało się zachować wiarę. Przytoczyłem też w tym miejscu historię jednego z naszych towarzyszy, który po przyjeździe do obozu podjął próbę targowania się z Bogiem, prosząc Go, aby jego własne cierpienia i śmierć pozwoliły mu uchronić ukochaną osobę przed równie tragicznym losem. Dla tego człowieka cierpienia i śmierć miały sens; jego osobista ofiara stanowiła poświęcenie najwyższej próby. Nie chciał umierać daremnie. Nikt z nas zresztą tego nie pragnął.

Celem mojej przemowy było wykazanie pełni sensu naszego życia w obozie – sensu egzystowania tu i teraz, w tym nędznym baraku i w tej praktycznie beznadziejnej sytuacji. Przekonałem się potem, że moje wysiłki odniosły pożądany skutek. Kiedy ponownie rozbłysło światło, ujrzałem kuśtykające w moją stronę wynędzniałe postacie współwięźniów, którzy ze łzami w oczach mi dziękowali. Muszę jednak przyznać, że nieczęsto starczało mi wewnętrznej siły i odwagi, żeby pomagać moim towarzyszom w cierpieniu i z pewnością przegapiłem wiele okazji, aby nieść im otuchę.

Dochodzimy teraz do trzeciego etapu psychicznych reakcji więźnia, a mianowicie do stanu jego psychiki po wyzwoleniu

z obozu. Wcześniej jednak chciałbym odnieść się do pewnej kwestii, o którą często wypytuje się psychologów, szczególnie tych, którzy znają te sprawy z własnego doświadczenia: co można powiedzieć na temat struktury psychicznej obozowych strażników? Jak to możliwe, żeby ludzie z krwi i kości traktowali innych tak, jak traktowano wielu więźniów obozów koncentracyjnych? Każdy, kto zapoznał się z relacjami ofiar i uwierzył w prawdziwość ich słów, musi zadawać sobie to pytanie: jak, z psychologicznego punktu widzenia, mogło dojść do czegoś podobnego? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie bez wdawania się w zbędne szczegóły, należy zwrócić uwagę na kilka faktów.

Po pierwsze, wśród strażników zdarzali się sadyści, i to w dosłownym, klinicznym znaczeniu tego określenia.

Po drugie, sadystów tych wybierano zawsze, gdy zaistniała konieczność utworzenia oddziału wyjątkowo brutalnych strażników.

Pamiętam ogromną radość, jaka wybuchała wśród pracujących poza obozem więźniów za każdym razem, gdy – po dwóch godzinach pracy na ostrym mrozie – pozwalano nam pogrzać się przez kilka minut przy niewielkim piecyku, w którym paliło się suchymi gałęziami i kawałkami drewna. Jednak zawsze znalazł się jakiś strażnik czy kapo, który czerpał satysfakcję z odbierania nam tej przyjemności. Jakaż rozkosz odmalowywała się na ich twarzach w momencie, gdy nie tylko zabraniali nam stania przy piecyku, ale wręcz go przewracali, wysypując jego cudownie gorącą zawartość prosto w śnieg! Gdy esesmani upodobali sobie jakiegoś kozła ofiarnego, w ich szeregach natychmiast znajdował się ktoś znany ze swego upodobania do sadystycznych tortur, wysokiej klasy specjalista w tej dziedzinie i to w jego ręce trafiał zwykle nieszczęsny więzień.

Po trzecie, wrażliwość większości strażników została stępiona długimi latami służby, podczas których byli oni świadkami nasilającej się brutalizacji metod postępowania z więźniami obozu. Co prawda, zdarzało się, że w pewnym

momencie ci moralnie i mentalnie obumarli ludzie odmawiali dalszego aktywnego udziału w sadystycznych praktykach, lecz nie przeszkadzało to im asystować przy ich przeprowadzaniu.

Po czwarte, należy podkreślić, że nawet wśród strażników zdarzali się tacy, którzy okazywali więźniom litość. Wymienię tylko jeden przykład: komendanta obozu, w którym zastała mnie upragniona wolność. Dopiero po wyzwoleniu dowiedzieliśmy się (wcześniej wiedział o tym jedynie obozowy lekarz, również więzień), że ów człowiek z własnej kieszeni przeznaczył niebagatelną kwotę na zakup w pobliskim miasteczku leków dla więźniów². Dla odmiany jeden ze starszych blokowych, także więzień, był dla nas gorszy od esesmanów. Podczas gdy on bił więźniów przy każdej nadarzającej się okazji; komendant obozu, o ile mi wiadomo, nigdy nie podniósł ręki na żadnego z nas.

Wyraźnie więc widać, że sama wiedza na temat tego, czy ktoś był obozowym strażnikiem, czy więźniem, o niczym jeszcze nie świadczy. Przejawy życzliwości i człowieczeństwa występowały na wszystkich szczeblach obozowej hierarchii, również w tych grupach, które łatwo byłoby zbiorowo potępić. Granice między nimi często się zacierały i nie wolno niczego upraszczać, mówiąc, że jedni byli aniołami, a inni diabłami wcielonymi. Rzecz jasna, za wyjątkowe osiągnięcie i triumf ludzkiego ducha można uznać fakt, że jakiś strażnik czy kapo wbrew obozowym zwyczajom okazywał więźniom życzliwość; podobnie wyjątkową podłością, zasługującą na najwyższą pogardę, można by nazwać zachowanie więźnia, który ze szczególnym okrucieństwem traktował swoich towarzyszy. Pozostali więźniowie dotkliwie odczuwali taką demoralizację; tym bardziej wzruszały ich najdrobniejsze przejawy życzliwości okazywanej im przez któregoś ze strażników. Dobrze pamiętam dzień, gdy pilnujący naszej pracy strażnik dał mi kawałek chleba, który – jak się domyśliłem – musiał odłożyć z własnej racji śniadaniowej. Wzruszyłem się wtedy do łez, lecz nie z powodu podarowanego mi kęsa pieczywa. Chodziło przede

wszystkim o to ludzkie „coś”, którym obdarzył mnie wówczas tamten człowiek – o ciepłe słowo i spojrzenie towarzyszące podarunkowi.

Podsumowując, można by pokusić się o stwierdzenie, że na świecie istnieją dwie rasy ludzi, lecz tylko w tym jednym sensie: „rasa” ludzi przyzwoitych oraz „rasa” tych, którzy nie wiedzą, czym jest przyzwoitość. Wszędzie można spotkać przedstawicieli obu tych „ras”, przeniknęli bowiem do każdej grupy społecznej. Żadna z nich nie składa się wyłącznie z ludzi przyzwoitych albo nieprzyzwoitych. Pod tym też względem żadna grupa nie jest „czysta rasowo”, dlatego też nawet wśród obozowych strażników można było od czasu do czasu spotkać przyzwoitego człowieka.

Życie w obozie koncentracyjnym rozdzierało duszę człowieka, ujawniając jej na co dzień ukryte otchłanie. Czy może zatem dziwić, że w otchłaniach tych znajdowaliśmy czysto ludzkie cechy, które z natury swej stanowią mieszaninę dobrego i złego? Granica oddzielająca dobro od zła, która przebiega przez dusze wszystkich istot ludzkich, sięga głęboko, aż do samego dna otchłani, którą odsłaniał pobyt w obozie koncentracyjnym.

Pora na ostatni rozdział psychologii obozowej – opis stanu psychiki więźnia, który doczekał wyzwolenia. Chcąc przedstawić przeżycia związane z odzyskaniem wolności, które siłą rzeczy muszą być subiektywne, podejmiemy przerwany wątek naszej opowieści w chwili, gdy pewnego ranka, po dniach niespokojnego wyczekiwania, nad bramą naszego obozu załopotała biała flaga. Po okresie wewnętrznego napięcia nastąpił moment całkowitego rozluźnienia. Błędem byłoby jednak sądzić, że tego dnia wszyscy oszaleli z radości. Cóż się zatem stało?

Wyczerpani więźniowie z trudem dowlekli się do obozowej bramy. Nieśmiało się rozglądali i popatrywali po sobie pytająco. Następnie ostrożnie zrobili kilka kroków poza teren obozu. Tym razem nikt nie wykrzykiwał głośno rozkazów i nie było potrzeby uchylać się przed kopniakami czy uderzeniami. O, nie! Tym

razem strażnicy proponowali nam papierosy! Z początku ich nie rozpoznaliśmy, bo pospiesznie przebrali się w cywilne ubrania. Ruszyliśmy wolno przed siebie wychodzącą z obozu drogą. Szybko jednak dało o sobie znać zmęczenie i nogi zaczęły się pod nami uginać. Mimo to kuśtykaliśmy dalej; chcieliśmy po raz pierwszy zobaczyć okolicę obozu oczyma wolnych ludzi. „Wolność” – powtarzaliśmy raz za razem, nie potrafiąc jej jednak ogarnąć. Tyle razy wypowiadaliśmy to słowo podczas tych wszystkich lat, gdy o niej marzyliśmy, że w końcu utraciło ono swoje znaczenie. Wciąż nie byliśmy w stanie objąć umysłem naszej nowej rzeczywistości, nie mogliśmy uwierzyć, że naprawdę jesteśmy wolni.

W końcu doszliśmy na łąkę pełną kwiatów. Widzieliśmy je i zdawaliśmy sobie sprawę z ich fizycznego istnienia, ale nie potrafiliśmy wykrzesać z siebie w związku z tym żadnych uczuć. Pierwszej iskierki radości dostarczył nam widok koguta o wielobarwnym ogonie. Wciąż jednak była to ledwie iskierka – nadal nie należeliśmy jeszcze do tego nowego świata.

Kiedy wieczorem po raz kolejny zebraliśmy się w naszym baraku, ktoś zapytał szeptem towarzysza:

– Powiedz mi, byłeś dzisiaj zadowolony?

Tamten zaś odparł zawstydzony, nie wiedząc, że wszyscy czuliśmy tego dnia to samo:

– Szczerze mówiąc, nie!

Pobyt w niewoli sprawił, że autentycznie straciliśmy umiejętność odczuwania zadowolenia i musieliśmy powoli uczyć się jej od początku.

Z psychologicznego punktu widzenia to, co działo się z wyzwolonymi więźniami, można by nazwać depersonalizacją. Wszystko wydawało nam się nierzeczywiste, nieprawdopodobne, niczym sen. Nie mogliśmy uwierzyć, że to wszystko prawda. Ileż to już razy zwodziły nas w przeszłości nasze marzenia senne! Śniliśmy, że nadszedł w końcu dzień wyzwolenia, że wypuszczono nas na wolność, że wróciliśmy do domów, powitaliśmy przyjaciół, uściskaliśmy żony, zasiedliśmy

przy stole i opowiadaliśmy o wszystkim, przez co przeszliśmy – nawet o tym, jak często śnił nam się w obozie upragniony dzień wyzwolenia. Jednak za każdym razem rozbrzmiewał nam w uszach przenikliwy dźwięk gwizdka – sygnał do pobudki – i nasz sen o wolności gwałtownie dobiegał końca. Teraz zaś w końcu się spełnił. Ale jak w tej sytuacji mogliśmy uwierzyć, że to rzeczywiście prawda?

Organizm ludzki, w przeciwieństwie do umysłu, cechuje się mniejszą liczbą zahamowań. Dlatego już od pierwszej chwili nasze ciała cieszyły się nowo odzyskaną wolnością. Jedliśmy łapczywie całymi godzinami i całymi dniami, a raz nawet przez pół nocy. To niezwykle, jakie ilości pożywienia może pochłonać człowiek. Gdy pewien więzień został zaproszony przez jednego z życzliwych nam okolicznych rolników, najpierw jadł i jadł, pił kawę, która rozwiązała mu język, a dopiero potem zaczął mówić i mówił całymi godzinami. Presja, jakiej latami był poddawany, nareszcie dobiegła końca. Słuchając go miało się wrażenie, że musi mówić, że ma niepokohamowaną potrzebę mówienia. Wiem, że ludzie, poddawani olbrzymim naciskom psychicznym, choćby przez krótki okres (na przykład przesłuchiwanie przez gestapo), reagowali w podobny sposób. Musiało minąć wiele dni, zanim nie tylko język się rozwiązywał, ale też coś wewnątrz człowieka ulegało rozluźnieniu – tak jakby pękały krępujące je kajdany i skrywane dotąd uczucia mogły wreszcie ujrzeć światło dzienne.

Pewnego razu, kilka dni po wyzwoleniu obozu, spacerowałem po okolicy, mijając rozkwitłe łąki ciągnące się kilometrami aż do najbliższego miasteczka. Skowronki wznosiły się wysoko pod niebo, napęlniając me uszy swymi radosnymi trelami. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żywej duszy; wokół mnie nie było nic oprócz ziemi, nieba, pieśni skowronków i swobodnej przestrzeni. W pewnym momencie przystanąłem, rozejrzałem się, a potem podniosłem głowę do góry – i uklęknąłem. W owej chwili tak niewiele wiedziałem o świecie

i o sobie samym, a po głowie tłukła mi się tylko jedna myśl – wciąż ta sama: „Wzywałem Pana z mego ciasnego więzienia, a On mnie wysłuchał i zwrócił mi wolność”.

Nie pamiętam już, jak długo tam klęczałem i powtarzałem to jedno zdanie. Wiem jednak, że tamtego dnia, w tamtej godzinie, moje życie zaczęło się na nowo. Krok po kroku na powrót stawałem się człowiekiem.

Droga wychodzenia z owego stanu napięcia psychicznego, w jakim żyliśmy przez ostatnich kilka dni przed wyzwoleniem obozu – ta droga od wojny nerwów do wewnętrznego wyciszenia – nie była rzecz jasna wolna od przeszkód. Błędem byłoby zakładać, że wyzwolony więzień nie potrzebował już duchowej opieki. Trzeba pamiętać, że człowiek, który tak długo żył pod ogromną presją psychiczną, po odzyskaniu wolności może automatycznie znaleźć się w niebezpieczeństwie, zwłaszcza że wyzwolenie się spod owej presji nastąpiło w sposób dosyć gwałtowny. Niebezpieczeństwem tym (w sensie higieny psychicznej) jest psychologiczny odpowiednik choroby kesonowej. Tak jak życie i zdrowie pracującego w kesonie nurka byłoby zagrożone, gdyby zbyt szybko się wynurzył (z uwagi na olbrzymią różnicę ciśnień), tak i człowiek, który zbyt gwałtownie wyzwolił się spod presji, może doznać uszczerbku na zdrowiu moralnym i duchowym.

Na tym etapie można było zaobserwować następujące zjawisko psychologiczne: otóż ludzie o bardziej prymitywnych charakterach nie potrafili wyzwolić się spod wpływu brutalnej przemocy, która otaczała ich na co dzień w obozie. Odzyskawszy wolność, sądzili, że wolno im z niej korzystać w sposób rozwiązy i bezwzględny. Jedyne, co się w ich mniemaniu zmieniło, to fakt, że teraz to oni byli oprawcami, a nie ofiarami. Z biernego obiektu niesprawiedliwości i rozmyślnej przemocy stawali się jej inicjatorami, a swoje zachowanie tłumaczyli własnymi ciężkimi doświadczeniami. Często znajdowało to swoje odbicie w pozornie nieznaczących wydarzeniach. Zmierzaaliśmy kiedyś z przyjacielem przez łąkę

w kierunku obozu i w pewnym momencie natknęliśmy się na zieleniejący łąn. Odruchowo chciałem go wyminąć, lecz mój towarzysz wziął mnie pod rękę i pociągnął za sobą na pole. Wyjąkałem coś na temat deptania młodego zboża, on zaś zdenerwował się, rzucił mi gniewne spojrzenie i wykrzyknął: „Co ty wygadujesz! Mało nam jeszcze odebrali? Zagazowali mi żonę i dziecko, o innych rzeczach nawet nie wspomnę, a ty chcesz mi zabronić deptania tych paru nędznych kłosów!”.

Tylko stopniowo można było im na powrót uświadomić tę niezmienną prawdę, zgodnie z którą nikt nie ma prawa źle postępować, nawet jeśli sam został źle potraktowany. Musieliśmy robić wszystko, co w naszej mocy, aby nasi towarzysze zrozumieli; w przeciwnym razie konsekwencje mogły być o wiele poważniejsze niż zniszczenie kilku tysięcy kłosów zboża. Wciąż mam przed oczyma twarz więźnia, który podwinąwszy rękawy kurtki, podsunął mi pod nos zaciśniętą prawą pięść i wykrzyknął: „Niech mi odetną tę dłoń, jeśli nie unurzam jej we krwi jeszcze tego samego dnia, gdy wrócę do domu!”. Chcę w tym miejscu podkreślić, że ten, kto wypowiedział te słowa, nie był wcale złym człowiekiem. Podczas naszego pobytu w obozie i zaraz po wyzwoleniu zaliczał się do moich najbliższych towarzyszy.

Oprócz demoralizacji, będącej wynikiem gwałtownego wyzwolenia się spod psychicznego nacisku, jeszcze dwa inne czynniki mogły stanowić zagrożenie dla postawy byłego więźnia: rozgoryczenie i rozczarowanie, jakie często odczuwał po powrocie do swego dawnego życia.

Powodem rozgoryczenia mogło być wiele czynników, z jakimi były więzień miał do czynienia w swoim rodzinnym mieście. Gdy tuż po przyjeździe w wielu miejscach witano go zwykłym wzruszeniem ramion czy oklepanymi frazesami, człowiek ów odczuwał rosnące rozgoryczenie i zaczynał się zastanawiać, dlaczego to wszystko go spotkało. Słyszac powtarzające się komentarze w rodzaju: „Nic o tym nie wiedzieliśmy” albo: „My też swoje wycierpieliśmy”, zadawał sobie pytanie: „Czy naprawdę nikt nie ma mi nic więcej do powiedzenia?”.

Inaczej rzecz się miała z rozczarowaniem. W tym przypadku nie chodziło o bliźnich (których powierzchowność i brak wrażliwości były tak ohydne, że człowiek miał w końcu ochotę wcisnąć się do mysiej dziury i nigdy już więcej nie słyszeć ani nie oglądać innych ludzi), lecz o los, który wydawał się niepojęty w swoim okrucieństwie. Ktoś, komu latami wydawało się, że sięg-nął dna otchłani cierpienia, odkrywał nagle, że cierpienie nie ma granic, a on może nadal cierpieć, i to jeszcze bardziej dotkliwie.

Wspominając o próbach dodawania otuchy więźniom obozu, podkreślałem, że w każdym przypadku niezbędne było wskazanie człowiekowi celu, do którego mógł dążyć. Należało mu uświadomić, że w przyszłości nadal czeka go życie, życie u boku ukochanej osoby. Cóż jednak można było powiedzieć temu samemu człowiekowi już po wyzwoleniu? Często okazywało się, że na wolności nikt na niego nie czeka. Biada temu, kto dowiedział się, że osoba, której wspomnienie dodawało mu odwagi i trzymało go przy życiu w obozie, już nie istnieje! Biada temu, kto – gdy nadszedł nareszcie ów wyśniony dzień – przekonywał się, że rzeczywistość boleśnie zawiodła jego oczekiwania! Być może wskakiwał do tramwaju i jechał do domu, który całymi latami oglądał wyłącznie w wyobraźni, a następnie przyciskał dzwonek tak, jak robił to tysiące razy w swoich snach, tylko po to, aby przekonać się, że nie otworzy mu osoba, która miała to zrobić, że już jej tam nie ma i nigdy nie będzie.

Podczas niewoli w obozie często powtarzaliśmy sobie, że żadne ziemskie szczęście nie wynagrodzi nam tego, cośmy wycierpieli. Nie marzyliśmy o szczęściu i to nie nadzieja na szczęście przydawała odwagi nam, a znaczenia naszym cierpieniom, poświęceniu i śmierci. A mimo to nie byliśmy przygotowani na nieszczęście. Owo rozczarowanie, którego dane było wielu więźniom zakosztować, okazało się dla nich wyzwaniem trudnym do pokonania. Również psychiatrzy trudno było nieść pomoc w takiej sytuacji. Nie mogło go to jednak zniechęcać; przeciwnie, musiało stać się dla niego

dodatkowym bodźcem do działania.

Jednak dla każdego byłego więźnia nadchodzi w końcu dzień, gdy spogląda wstecz na swoje obozowe przeżycia i nie pojmuje, jakim cudem udało mu się przetrwać. Jak w wytęsknionym dniu wyzwolenia wszystko wydawało nam się tylko pięknym snem, tak też nieuchronnie przychodzi moment, kiedy wszystkie doświadczenia obozu wydają się być niczym innym, jak tylko sennym koszmarem.

Dla człowieka powracającego z obozu ukoronowaniem jego przeżyć było wspaniałe poczucie, że po tym, co do tej pory wycierpiał, nie musi się już niczego bać – poza swoim Bogiem.